MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 11. WARSZAWA, 11 MARCA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

SEDNO RZECZY

SKANDALE we Francji wykraczają daleko poza granice zwykłych nadużyć finansowych, chociażby miljonowych i wysuwają na czoło dyskusji i walk publicznych sprawę ustroju państwa, gdyż ten, przy którym do takich potwornych stosunków dojść mogło, wydaje się nie do utrzymania.

Trzecia republika we Francji w ciągu 63 lat istnienia zużyła 96 gabinetów rządowych. Przeciętny więc wiek rządu wypada na około ośmiu miesięcy, są jednak okresy trwania znacznie krótsze, bo wynoszące zaledwie kilka dni, a w ostatnich dziesiątkach lat, nie wyłączając czasów wojennych, rząd trwający jakieś dwa lata należał do wyjątków. W takich warunkach jakie takie funkcjonowanie maszyny państwowej możliwe było tylko pod warunkiem istnienia solidnej i pewnej biurokracji zawodowej, która przez ciągłość swej pracy i doświadczenie wyrównywała braki nieustannie zmieniającego się „kierownictwa" politycznego. Długi czas tak istotnie było, ale oto co na krótko przed swym zgonem, minister pracy François Albert, świadek w tym wypadku nie podejrzany, bo należący do rządzącego stronnictwa radykałów społecznych, pisał do swego przyjaciela, również radykalnego publicysty:

„Nie możesz sobie wyobrazić, jak nisko upadł *le régime*. Jestem poprostu tem przerażony. Kierownictwa ministerstw były dawniej bez zarzutu; dziś są one w rękach ludzi bez skrupułów. W ministerstwie pracy, poza kilkoma wyjątkami, mam naokół siebie samych bandytów (w oryginale *„gangsters"*), a masonerja broni ich przeciwko mnie zażarcie".

Korrupcja ogarnęła więc sferę wyższej biurokracji i trudno się temu dziwić, skoro adwokat A. Hesse, deputowany, wiceprezydent parlamentu i b. wiceminister, przegrawszy jakiś proces w sądzie, wykrzyknął w pasji pod adresem przewodniczącego trybunału: „No, ja będę ministrem, a wtedy ten poczeka na swój awans!" Oszust, poświęciwszy parę miljonów na finansowanie wyborów rządzącej partji, mógł następnie przy pobłażliwym uśmiechu prokuratora kraść setki miljonów, a gdy sprawa przypadkiem wyszła na jaw, zginęły nie tylko akty, ale zaczęli ginąć również świadkowie... Zaś parlament, mimo to wszystko, ogromną większością udziela swego zaufania rządom, z temi wszystkiemi skandalami bardzo ściśle związanym, i trzeba dopiero burzliwego wystąpienia ulicy, a żeby te rządy zmieść. Mamy więc jaskrawy obraz opanowania instytucyj ustrojowych z jednoj strony przez pieniądz, bardzo nawet nie pachnący, z drugiej zaś przez mafję, w tym wypadku masonerję, która toleruje korrupcję swych zwolenników, byle wzamian za to miała możność przeprowadzania swoich celów politycznych. Uwydatnił się wyraźnie przedział między tem, co Maurras nazywa *„le pays légal"*, instytucjami rządzącemi, a *„le pays réel"*, t. zn. Francją właściwą, która nie składa się przecież z oszustów i zbrodniarzy, lecz z uczciwych ludzi, pragnących uczciwych rządów dla swego kraju. Opinja kraju nie tolerowałaby oczywiście ani przez chwilę nadużyć, gdyby była o nich należycie powiadomiona, lecz tu właśnie leży cała trudność sprawy: jak zorganizować kontrolę publiczną, ażeby działała inteligentnie i stale, a nie-

tylko w tych wypadkach, kiedy zło już przebierze miarę, żeby działała prewencyjnie, a nietylko karząco, po fakcie; kiedy może być już poniewczasie, jak np. w wypadku prowadzenia polityki, sprzecznej z interesem narodowym.

Są, jak wiadomo, sceptycy, którzy wogóle odmawiają szerokiej opinji, czyli t. zw. masom zdolności wykonywania takiej kontroli i nadawania kierunku polityce państwa, gdyż demagogja i pieniądz mogą zawsze tę opinję do swoich celów nagiąć. Usuwają tedy w proponowanych przez siebie systemach wpływ mas, czyli zasadę wyborczą z dziedziny wielkiej polityki, zostawiając ją conajwyżej w samorządzie lokalnym, instytucjach zawodowych i t. p. Inni pragną kontrolę powierzyć tylko części społeczeństwa, lepiej do tej roli uzdolnionej, czy przystosowanej, odsiewają więc w swych projektach t. zw. elity, w ten lub inny sposób dobrane. Nie jest to jednak rzecz łatwa i dotychczas nie ukazał się na horyzoncie jakiś projekt czy zasada, które nie budziłyby wątpliwości i dawały jakieś trwalsze gwarancje. Istnieją wprawdzie nowe ustroje, pomijające zasadę wyborczą i funkcjonujące jak do dziś sprawnie, lecz są one związane z wyjątkowemi walorami ich twórców, a jak będą działały dalej, gdy zabraknie powagi tych osobistości, nie wiemy.

Jeden z publicystów angielskich, świadek demonstracyj paryskich przeciwko skorrumpowanemu parlamentowi, zaczyna opis tych demonstracyj od okrzyku: „jestem napowrót demokratą“. Moralna reakcja tłumów przeciwko bagnu złodziejsko-masońskiemu przywróciła mu wiarę w sprawę, która nie miała w ostatnich czasach dobrej prasy, na którą, przeciwnie, wieszano wiele rzeczy, nawet i takich, którym naprawę winna nie była.

Mam wrażenie, że we wszystkich rozumowaniach, potępiających rządy demokratyczne, tkwi pewne nieporozumienie. Dziś niema rządów, któreby istnieć mogły czas dłuższy wbrew życzeniu mas ludności. W kilku wypadkach, jakie mamy przed oczyma, we Włoszech, czy Niemczech masy te zrzekły się wykonywanych dawniej praw i oddały je przywódcy, reprezentującemu pewną ideję, znajdującą w masach tych silny oddźwięk. Otóż — w tem, według mnie, leży sedno rzeczy: trzeba masom pokazać ideę, i to jest treścią życia, forma zaś ma znaczenie drugorzędne. A nawet przy dobrej formie na tle bezideowości utworzy się niewątpliwie bagno.

Historyk i publicysta francuski, p. Gaxotte wskazywał niedawno jako na źródło zła we Francji, na brak jakiejkolwiek hierarchji moralnej. Niema hierarchji zasługi, czy waloru moralnego, pozostała jedynie hierarchja bogactwa, pieniądza. Jest to niewątpliwie słuszne, ale jak w naszych czasach stworzyć warunki do powstania jakiejś hierarchji, która dawałaby ludziom podnietę do wznoszenia się ponad poziom zbijania grosza wszelkiemi sposobami? Nie ulega wątpliwości, że taką podnietę stanowić może tylko służba jakiejś idei. Idea, wielki cel, postawiony przed narodem, da sobie skutecznie radę i ze złowrogim wpływem pieniądza i z demagogją, bez względu na formę rządów. Oczywiście, mogą przychodzić sytuacje i chwile ciężkie, potrzebna jest ustawiczna czujność, ale właśnie obywatelska czujność jest, według znanego powiedzenia, ceną, jaką się płaci za wolność. Ideą taką nie może być, naturalnie, wolterowskie pielęgnowanie Kandydowego ogródka, a do tego ideału, przy możliwem unikaniu walki o byt, skłania się od wielu lat Francja: przed niespełna wiekiem ludność jej równa była ludności Niemiec, dziś te prześcignęły ją o połowę. Zawsze zaś na tle rezygnacji i wygodnictwa kwitną bujnie kwiaty zła.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

JEZUITA TATARZYN

(NA MARGINESIE ŚWIEŻEJ KSIĄŻKI O UNJI BRZESKIEJ)

TRAGICZNEJ pamięci bohater z pod Cecory, hetman Żółkiewski pisał (25 lipca 1594) tak do hetm. Zamoyskiego:

„Z strony owej drugiej sprawy krótko pisząc, powiedział mi (arcybiskup lwowski, Solikowski), że od dawnego czasu Grekowie z nim o niej przez księdza Kaspra Tatarzyna Jezuitę konferowali. Ksiądz arcybiskup gnieźnieński (Karnkowski), do którego był o tem referował, *contempsit* tę sprawę i wdawać się w nią nie chciał. Ksiądz biskup łucki (Bern. Maciejowski), któremu ta sprawa jest *cordi*, miał jednak na nią mieć pieczę i tenże ksiądz Kasper Jezuita jechał tam był do Brześcia na synod, którego jeszcze i do tego czasu niemasz. Skoroby ksiądz Kasper przyjechał, zrozumiawszy z niego, *in quibus terminis* na tamtym synodzie ta sprawa stanęła, oznajmię W Mci.“

W świeżej książce o unji brzeskiej[1]) autor przytoczył powyższy ustęp, ale nie postarał się o rozwiązanie zagadek i poprzestał na zaznaczeniu, że zapewne te „niejasne słowa“ dotyczą unji brzeskiej.

Otóż kto jest ten sfinks: jezuita Tatarzyn? Był to sławny działacz na kresach, ksiądz Kasper Nahaj, rodowity Tatar, który po rozbiciu jakiegoś czambułu tatarskiego, jako mały chłopiec dostał się do niewoli w ręce zwycięskiego wodza — wojewody podolskiego. Oddany przezeń do szkół do Krakowa, a potem do Rzymu do nowicjatu jezuitów, zasłynął następnie jako ruchliwy „Apostoł Rusi“. Każdy chyba z biografów Konstantego ks. Ostrogskiego wie dobrze,

[1]) Kazimierz Lewicki: „Ks. Konstanty Ostrogski a unja brzeska 1596“. Lwów 1933, str. 110.

że on to uczynił wyłom śród prawosławnych synów tego starego woza dyzunji, bo nawrócił tak najstarszego Janusza jak i młodszego Konstantego na katolicyzm. Nawrócił też w 1595 r. nie byle kogo, bo pierwszego z Wiśniowieckich, Konstantego, wojewodę ruskiego, a w roku 1594 Janusza księcia Zasławskiego, który po dyspucie, ostatecznie zachwiany w swem przywiązaniu do dyzunji, rzekł z uśmiechem do zwycięzcy: „Nie darmo mi się śniło, jakby mię dziś Tatarzyn imał i krępował“.

Nietylko nawracał panów kresowych na wiarę łacińską; ale krzątał sie równocześnie około przygotowania unji brzeskiej, brał udział w synodach władyków ruskich i dlatego to zapewne Towarzystwo Jezusowe, w uznaniu jego zasług, przyznało mu wkońcu stopień znaczny w zakonie. Oto ten „Pater Gaspar Nahaius Scytha“, w dwa miesiące przed owym zjazdem ostatecznym w Brześciu w r. 1596, został przez prowincjała[2]) przypuszczony w Krakowie do elity zakonu, bo do profesji czterech ślubów — pomimo że był Tatarem. Snadź już patrzono z pełną ufnością w „skośne oczy“ Tatarzyna. Na widok gorliwej jego pracy prysły wszelkie podejrzenia, że gdzieś na dnie serca tego „jeńca“ kryją się jeszcze najdrobniejsze cechy rasowe i mogą obudzić choćby nawet nieświadomy wallenrodyzm. Wszak wszystkie jego wysiłki dążyły do podkopania Islamu w Konstantynopolu, bo do połączenia Greków z Rzymem pod znakiem krzyża przeciw półksiężycowi. Cała jego postać, to był jakby uosobiony odwet Rzymu, wymierzony Islamowi za wychowywanie dziatwy chrześcijańskiej, pobranej w jasyr — na janczarów. On był Chrystusowym kontr — janczarem!

Ale czy dzisiaj ta osobliwa postać Tatara w czarnej sukni jezuickiej nie nasuwa nam myśli, że unja brzeska — to narzucona wschodnim kresom „intryga jezuicka“ i że wogóle cała inicjatywa tego związania Rusi z Rzymem tkwiła tylko w nuncjaturze papieskiej w Polsce i jej sługach — jezuitach, a wcale nie powstała samorodnie śród Greków czy Rusinów?

Tymczasem dopiero co przytoczone, dziwnie proste, poufne zwierzenia Żółkiewskiego, przesłane Zamoyskiemu, mówią wręcz coś przeciwnego, bo przyznają wprawdzie, że ów jezuita — Tatar był pośrednikiem, ale podkreślają, że inicjatorką — była sama Grecja. „Od dawnego czasu Grekowie z nim o niej przez Tatarzyna Jezuitę konferowali“. Kto to są ci Grekowie? Chyba nie myśli Żółkiewski tu o władykach (biskupach) ruskich, wyznawcach wiary greckiej, ci bowiem tak bliską mu byli „bracią szlachtą“, jak np. władyka lwowski Bałaban, jego kuzyn, protegowany przez Zamoyskiego, zrazu nawet uczestnik unji. Wszak słowian nie nazwałby chyba Żółkiewski Grekami. Wszak do rozmowy z Rusinami arcybiskup Solikowski, mieszkający we Lwowie, nie potrzebowałby używać pośrednictwa jezuity Nahaja. A zatem mowa tu jest o samych Grekach, o Grecji, a głównie o ich najwyższym dostojniku, patrjarsze carogrodzkim Jeremjaszu II, który z arcybiskupem Solikowskim rozpocząć mógł konferencje co do unji w r. 1588, kiedy to w towarzystwie Greków przybył osobiście do Polski. Było to sześć lat przed datą listu Żółkiewskiego, a więc odpowiadałaby słowom, że te układy trwają „od dawnego czasu“. Do jakiego stopnia wówczas przyjazd samego patrjarchy carogrodzkiego do Polski rozbudził na Rusi i w Polsce gorączkowy pęd ku korzystaniu z tej okazji, by dokonać unji, świadczy właśnie list owego Bernarda Maciejowskiego, łacińskiego biskupa w Łucku, któremu unja była (jak mówił Solikowski) *„cordi“*. Właśnie w r. 1588 pisze Maciejowski do nuncjusza o układach jakiegoś jezuity[3]) (Nahaja?) z prawosławnymi, w tym kierunku, aby skorzystać z pobytu Jeremjasza w Polsce i w celu doprowadzenia do skutku unji urządzić *„colloquium cum Graecis“*[4]). Dysputa czy rozmowa z Grekami nie była wówczas na Rusi dziwną, gdyż — jak przyznaje Hruszewski[5]) — w owej chwili pobytu patrjarchy, „z a r o i ł o s i ę“ na kresach Polski od Greków. Dysputa zapowiadała się interesująco, bo sam patrjarcha był sławnym teologiem, który w korespondencji (rozgłoszonej świeżo w Krakowie przez profesora uniwersytetu Jagiellońskiego, Stanisława Sokołowskiego) zerwał wszelkie mosty z teologami luterskimi.

Już na początku roku 1586[6]) papież Sykstus V spodziewał się doprowadzić do skutku unję z Grekami, a to w związku z wieścią, że biskupi greccy sprzeciwiali się staraniom Moskali o ustanowienie patrjarchatu nad Wołgą. Ale tu zagadnie czytelnik: czyżby sami Grecy mogli w istocie być inicjatorami unji brzeskiej? Czyżby sami ostrzyli miecz przeciw sobie? Wyda się to mniej dziwne, gdy sobie przypomnimy, że w r. 1438 na sobór do Ferrary przybył patrjarcha carogrodzki Józef, cesarz bizantyjski Jan VII i 700 Greków, i to właśnie po to, aby doprowadzić do „unji florenckiej“. Wówczas pobudziła ich do tego groza niebezpieczeństwa tureckiego, a teraz było jeszcze gorzej, bo sułtan był już ugruntowany w Konstantynopolu, srożył się nad Grekami i nękał przedewszystkiem patrjarchę. Trzeba sobie tylko uprzytomnić wypadki. W r. 1572 patrjarcha Mitrofanes był strącony z tronu patrjarszego (za skłonność do unji?) i wówczas po raz pierwszy wstąpił na tę stolicę Jeremjasz, o którym mówimy. W r. 1579 znów Mitrofanes wrócił na dawny tron, a niebawem po jego śmierci Jeremjasz, ledwo przywrócony, został oskarżony przez Turków o „zdradę stanu“ i konszachty z królem hiszpańskim i papieżem Sykstusem V. Ponownie strącony z tronu (1584) i wygnany na wyspę Rhodos, zdołał jednak wkońcu przebłagać Portę i po raz t r z e c i dostać się na swoją stolicę. Nie dostał coprawda z powrotem samej świątyni, lecz musiał zapłacić wprzód pewne sumy (opłacić się współzawodnikom). Aby zebrać na to pieniądze („jałmużnę“), wybrał się przez Polskę do Moskwy i wstąpił do Zamościa. Trzeba sobie uprzytomnić, że wstąpił do Zamościa w r. 1588, a więc w owym pamiętnym roku, który opromienił pana na Zamościu sławą niebywałą, bo dopiero co przed kilku miesiącami odniósł hetman wspaniałe zwycięstwo pod Byczyną. Triumfator zdawał się decydować nie tylko o wszystkiem w Polsce, ale zaciążył niebywale na losach całej północy i wschodu Euro-

[2]) Wielewicki, 4-VIII. 1596, I. 216, wyjaśnia, dlaczego nie zwrócił prowincjał uwagi na jego rasę.

[3]) Ks. Załęski: (IV, 563-6) podaje, że Nahaj przebywał we Lwowie przy arcybiskupie Solikowskim w r. 1584, 1585, 1590 i t. p. ale później w Ł u c k u około r. 1592 dom jezuicki przy Maciejowskim wystawił (str 567).

[4]) Theiner III, str. 41. Nr. 46.

[5]) Por. Hruszewski (Ukr. V. cz. II, 547, 549, 551-555). Zwalcza ten pogląd Lewicki Kazimierz, 72 uw. 3.

[6]) Pastor: *„Gesch, der Päpste“*, X. 1926, 138—7.

py. Cały świat widział w nim już nie tylko wielkiego polityka, ale i wojownika. Wszak tuż koło Zamościa w Krasnym Stawie siedział, ujęty przez hetmana, brat samego cesarza rzymskiego, arcyks. Maksymiljan. Za to właśnie, że ukrócił hetman znienawidzonych przez Turcję Habsburgów, Porta wynosiła go pod niebo i niezawodnie licząc się z tem Jeremjasz przybył do Zamościa.

Patrjarcha, jadąc do Moskwy, chciał hetmanowi się wytłumaczyć, zapewnić o swej lojalności, prosić o pozwolenie i na tej zapewne drodze zaczęły się w Zamościu układy o unję, o których sam hetman donosi wyraźnie (5.X.1588) legatowi Aldobrandino[7]). Namawiał go Zamoyski, aby sam został patrjarchą w Kijowie, wskazując, że gród ten jest starszy, niż Moskwa. Zapewne hetman powoływał się na to, że w Kijowie rezydował w czasie unji florenckiej metropolita Izydor.

Z tem wszystkiem, nad wszystkiemi poczynaniami Jeremjasza w Zamościu wisiał jednak miecz Damoklesa, bo groza pomsty tureckiej i ponowna kara w przyszłości za „zdradę stanu". Musiał działać ostrożnie.

Oczywiście, w tajnikach serca patrjarcha marzył o wyzwoleniu Konstantynopola i wiedział dobrze, że za wyzwolenie Grecji papież Sykstus V, a tak samo i Jan Zamoyski zażąda unji religijnej. Ciekawe jest zagadnienie, czy w czasie tych rozmów hetman uchylił rąbka tajemnicy i czy patrjarsze, jadącemu do Moskwy, zwierzył się, że zmarły król Stefan miał przy pomocy Papieża zdobyć właśnie tę Moskwę, przeprowadzić unję polityczną i religijną, a następnie ruszyć na Konstantynopol — aby wyzwolić Grecję. W każdym razie, jeśli równocześnie Zamoyski odważył się na krok tak ryzykowny i nawet swego „jeńca—wroga", arcyksięcia namawiał, aby spełnił marzenia Batorego i ruszył na czele wojsk przeciw Moskwie, — to czyżby nie odważył się, celem wstrzymania patrjarchy przed erygowaniem patrjarchatu w Moskwie—rozbudzić w jego sercu marzeń o wyzwoleniu Grecji z jarzma tureckiego? Jeśli Zamoyski, za kilka miesięcy, wobec oficjalnego reprezentanta Habsburgów, pana czeskiego Rosemberka, odważy się roztoczyć plany unji wszystkich Słowian, Czechów i Polaków przeciw tymże Habsburgom, w tym celu zorganizowanej, aby wypędzić Turków z Konstantynopola i wyzwolić Słowian bałkańskich[8]), to czyż tu nie rzuciłby myśli buntu przeciw sułtanowi, wobec tyle razy dręczonego „ojca" i wodza Greków ujarzmionych? Warunkiem wyzwolenia oczywiście była—unja z Rzymem! Jak czytamy w liście hetmana do nuncjusza — Jeremjasz słuchał go mile i nie sprzeciwiał się tej myśli unji religijnej (*„de concordia cum ecclesia Romana... non alienus mici visus est"*).

Jeśli hetman olśnił i oczarował Czecha—Rosemberka, czyż nie mógł poruszyć tego Greka, tylekroć poniewieranego przez sułtana? A może świeży triumfator zdoła spełnić marzenia Stefana i całego świata chrześcijańskiego?

Tu w Zamościu zakiełkowały zamysły Polaków o unji „brzeskiej" z Grekami. Odnowiły się roku następnego, gdy znowu w tymże Zamościu zjawi się po powrocie z Moskwy patrjarcha i zamianuje władykami późniejszych wykonawców unji brzeskiej...

Nie trzeba zapominać, że zrazu w Moskwie patrjarcha wystąpił z projektem, że on sam chce zostać tam patrjarchą, i że śród Greków, przebywających wówczas w Polsce, byli niektórzy przywiązani tak silnie do unji, jak Arkadjusz, apologeta unji brzeskiej, jak wreszcie ów Grek[9]) kupiec w mieście Zamościu, którego Zamoyski dodał patrjarsze, jako towarzysza podróży do Moskwy.

WACŁAW SOBIESKI

[7]) Szmurło: „Rosja i Italja", tom II, zeszyt 1, 166.

[8]) Heidenstein: *„Vita Zamoiscii"* 106.

[9]) Sobieski: „Tygodnik Ilustrowany" 1905, str. 43.

JEDWABISTE ZAJĄCE I LISY BIURKOWE

POWOŁANA i w składzie swoim mianowana przez rząd Akademja Literatury Polskiej, z nazwy swojej i urzędu bierze na siebie zadania względem kultury polskiej górne i odpowiedzialne. Wobec tego z zaciekawieniem czytano listę pierwszych jej członków, gdzie ogół polski ze zdziwieniem lub niesmakiem napotkał nazwiska literatów żydowskich. Lecz i poza tą najgłębszą, organiczną wadą Akademji, pierwszy jej skład osobisty obudził liczne wątpliwości i śmiechy szydercze. Wypłyną one jeszcze nie raz na powierzchnię życia w ciągu działalności owej Akademji, więc ich nawet wyliczać nie będę, ale z miejsca do pewnej sprawy poszczególnej przystąpię, która dawno już na omówienie czekała, a teraz właśnie z Akademją Literatury Polskiej ściśle się powiązała.

W spisie członków tej, urzędowo najwyższej, państwowej placówki literackiej widnieje między innemi nazwisko p. Wacława Berenta. Przypomniało mi to przekład, przez p. Berenta z „Zaratustry" Fr. Nietzschego dokonany, przekład bardzo osobliwy, a w poważnej prasie polskiej niedoceniony. Zajmę nim uwagę czytelników naszych, rzuca on bowiem bezstronne światło nietylko na pisarza-tłumacza, ale i na Akademję Literatury Polskiej, pośrednio zaś oświetla także to i owo z ciekawych zjawisk ciekawej naszej teraźniejszości.

Nie pamiętam roku, ale mniej więcej lat temu dziesięć, z powodu ukazania się nowego wydania „Zaratustry" w przekładzie p. Berenta, zamieściłem w „Gazecie Warszawskiej" szkic pod tytułem „Nie tak mówił Zaratustra". Omówiłem wtedy ogólnikowo tylko styl przekładu, pomijając milczeniem i odkładając na później sprawę języka, treści i zgodności, nie miałem bowiem pod ręką oryginału, a nie chciałem orzekać gołosłownie. Ale to „na później" aż do dzisiejszego dnia się rozciągnęło, a i dzisiaj pojawienie się swoje wyłącznie pojawieniu się Akademji zawdzięcza. Trzeba było zdarzenia o nieco szerszem znaczeniu społecznem, ażebym, przynaglony niem, zasiadł do tak nudnej i żmudnej roboty, jak szczegółowe porównanie przekładu z oryginałem. Nie jest już zwykłym przekładem przekład pisarza, zapiętego na guzik Akademji z plombą rządową...

Tytuł p. Berenta — „Tako rzecze Zaratustra“ — odrazu odsłania charakter stylu, w całem przekładzie zastosowany: barok pokrzywiony i napuszony, upstrzony gdzieniegdzie uroszczeniami do archaizacji. Czegoś w tym rodzaju nikt w oryginale ani śladu nie dopatrzy. Począwszy od tytułu — „*Also sprach Zarathustra*“ — w całem dziele Nietzschego panuje styl spokojnej, naturalnej prostoty, oparty na potocznej mowie niemieckiej teraźniejszości. Skłonność do gry słów, do aliteracji, swoboda we wprowadzaniu nowotworów językowych (Nietzsche był filologiem) — w doskonałej pozostają zgodzie z naturalnością i prostotą stylu „Zaratustry”. Nietzsche sam zdawał sobie sprawę z tej zasadniczej cechy stylu i ducha swojego, o czem w kilku miejscach „Zaratustry“ wyraźnie wspomina. (W dalszym ciągu będę miał sposobność do przytoczenia jednego z tych powiedzeń autora). Nawet w poetyckich uniesieniach prostota i naturalność nie znikają ze stylu „Zaratustry“, lecz nabierają tylko mocy i dostojności. I jakżeby inaczej być mogło? Czy jest możliwy barok i napuszoność stylu w dziele, które co chwila przenika ból serdeczny, gniew porywczy, śmiech szyderczy, radość twórcza, miłość najgłębsza?

Tłumacz „Zaratustry“ od pierwszej do ostatniej stronicy swojego przekładu pilnie starał się o to, żeby tę prostotę i dostojność stylu zniszczyć doszczętnie. I uczynił to w sposób bardzo prosty.

Naprzód pozmieniał charakter słów właśnie w kierunku niezwykłości, napuszoności i barokowości. „Dziecko” tłumaczy na „dziecię”, „studnia“— „studnica”, „tęsknota“ —„tęsknica“, „wstydzę się“— „sromam się”, „wstyd”—„srom”, „trzymać”—„dzierżyć“, „szyderstwo“ — „szyd”, „przynęta” — „nęta” i tak dalej. Co chwila potykamy się tu o takie słowa, jak „woń, źrzały, chorzenie, chwalba, otrok, bluźnienie, zwólcie, zdziaływa, zarnice, gędźba, wrot”, i tym podobne, w jaskrawej stojące sprzeczności z prostym językiem oryginału. Tłumacz nie cofa się nawet przed takiemi śmiesznościami mowy, jak „sromna krasa policzków“, „pomów pierwej ze zwierzęty memi”, „podtrzymywany ramiony ludzi” it.p. Naogół nie uznaje prostej formy narzędnika, tylko tę — niby „górną”: „jakiemikolwiek drogi“, „lepszemi drapieżniki“, „czy nie obdarzono nazwy i dźwięki” (zamiast: nazwami i dźwiękami), „umęczyli się dzieły swemi“ „miotane wichry“ (zamiast: wichrami) — i tak dalej.

Następnie cały ten swój materjał językowy, nieprzeliczone mnóstwo słów powykręcanych i pretensjonalnych układa tłumacz w zwroty, szyki i rytmy jeszcze bardziej wykręcone, sztuczne i pretensjonalne, jak oto: „nie w porę nawiedzasz mnie ty!“, „kiedyż godzina ma nadejdzie?“, „gdyż raz jeszcze chcę ja do ludzi zejść“, „Ma mędrca tęsknica wyrywała się ze mnie...“, „mów: z dwojga nas dziękować komu tu?“,—„o dusza ma, o, dusza ma...“ (powielekroć powtarzane), „ja zaś i dola ma“, „Gdyż stary ten Bóg nie żyje; zgoła martwy jest on już“. „Me zwierzęta niech wam usługują, ma jaskinia niech będzie dla was miejscem wytchnienia!“, „Już zmarłem ja! Minęło już! Pająku ty!”,—„pląsa dusza ma“,—„Nie upajaż księżyc nas?“, „Me czucie... Baczęż ja szczęścia? Dzieła mego baczę!“ „Okrutnik ja, oto krwawisz wszak...“, „O, południe me!“ — i tak dalej. Tłumacz nie uznaje zaimków „moja, twoja“ tylko „matwa“, co jest jednym z powodów śmieszności jego przekładu.

Pomijam wiele innych sposobów, któremi tłumacz wykręca i torturuje mowę polską. Przytoczeń powyższych wystarczy dla zrozumienia, co z prostoty i dostojności oryginału powstać musiało w tak zepsutym przekładzie. Gdyż nie są to wyjątki, ale reguła tłumaczenia p. Berenta, na każdej stronicy pilnie stosowana. Z poważnego dzieła moralno-filozoficznego tłumacz uczynił barokową groteskę libretową.

Liczby, które w dalszym ciągu tych uwag stawiam w nawiasach obok przytoczeń, oznaczają stronice przekładu według jego wydania trzeciego, a są to już przytoczenia, samej treści dzieła dotyczące. Tłumacz bowiem nie poprzestał na zniszczeniu formy, tonu, rytmu „Zaratustry”, ale z niemniejszem powodzeniem sięgnął także do sensu, do samej treści myślowej.

W wielu miejscach przekładu p. Berenta natrafiamy (co lojalnie zastrzegam), na błędy, które można położyć na karb niedbalstwa. Zacznijmy tedy od nich, jak naprzykład: „najmądrzejsze” zamiast „najdumniejsze”—*das stolzeste* (str. 22), „południe” zamiast „północ”—*um Mitternacht* (str. 211), „stworzeniem” zamiast „potokiem”—*Strom* (str. 8), „nadzieja” zamiast „przenośnia” — *Gleichnis* (str. 153), „mlekiem” zamiast „masłem” — *Butter* (str. 213), „jaskinią” zamiast „piekłem”—*Hölle* (str. 449), „godziny” zamiast „grzechu”—*Sünde* (str. 338)—i tym podobne. Dziwne to jednak niedbalstwo, gdy zważymy, że na owem trzeciem wydaniu przekładu wydrukowano: „Wydanie trzecie, przejrzane i ponownie porównane z oryginałem”. Każdy przyzna, że błędy w rodzaju przytoczonych mocno treść rzeczy zmieniają, a skoro mogłem je wykryć ja — przygodny „kontroler” przekładu, to tembardziej powinien był je usunąć sam tłumacz podczas drugiego z rzędu („ponownego”) porównywania z oryginałem!

Poza tym jednak, stosunkowo łagodnym rodzajem błędów istnieją w przekładzie p. Berenta liczne dowolności, które nie mogły z nieuwagi powstać, ale wkraczają już na grunt nieznajomości języka — zarówno niemieckiego, jak polskiego. Naprzykład: „*Verdruss*“ — p. Berent tłumaczy „zgryzota” (str. 422), gdy to jest „przykrość”; „*unscheinbar*“ tłumaczy przez „niewidocznie” (str. 436), gdy to jest „niepozornie”; „*süsse Leier*” tłumaczy „słodka lutni” (str. 448 i inne), gdy to jest „słodka liro”; „*Fusstapfen*” tłumaczy „miedza” (str. 158), gdy to jest „trop, ślad”; „*Schuld*” tłumaczy „kara” (str. 197), gdy to jest „wina”; „*Häscher*” tłumaczy „szpieg” (str. 369), gdy to jest „zbir, siepacz”; „*Verleumder*” tłumaczy „zaprzańcy” (str. 299 i 361), gdy to są „oszczercy, potwarcy”; „*Ehrfurcht*” tłumaczy „pokora” (str. 50, 272, 391 i inne), gdy to jest „cześć, głęboki szacunek” — i wiele innych, na co tu już miejsca braknąć zaczyna. Błędy owe tem są jeszcze ciekawsze, że przeważnie zniekształcają zdania i czynią z myśli w danych miejscach wyraźne nonsensy, których jednak tłumacz nie dostrzega.

Obok tych błędów i dziwnych co do sensu przeoczeń należy tu postawić inny jeszcze rodzaj dowolności w przekładzie p. Berenta, dowolności, któremi on z dobrą miną poprawia treść oryginału. Naprzykład: „*O Mensch! Gib acht! Was spricht die tiefe Mitternacht? „Ich schlief, ich schlief—*” i t.d. co znaczy: „Człowieku! Zważ! Co mówi północ głęboka? „Spałam, spałam —” i t. d. Jest dla każdego rzeczą jasną, że owo „spałam” mówi o sobie północ, bo nawet graficznie Nietzsche oznaczył to

czudzysłowem, który poprzedza słowa „spałam, spałam". Pozatem wiadomo, że południe i północ występują w „Zaratustrze", jako dwa wielkie symbole, a z całej treści wynika niewątpliwie, że tu właśnie północ mówi o sobie „spałam, spałam" i t. d. Tymczasem wiersz ten p. Berent tak tłumaczy: „Człowiecze, śpisz? Coś brzmi z północnej głuszy wzwyż! „Jam spał, jam spał—" i t.d. Zamiast żeńskiego rodzaju pakuje męski, a zamiast „północy" (która mówi) wstawia jakieś „coś", które „brzmi" — ale co? — niewiadomo! (str. 321 i 453). Wiersz ten jest pieśnią, do której Zaratustra szczególną wagę przywiązuje. Tem złośliwsza i brzydsza jest „poprawka" tłumacza.

W innem miejscu: Zaratustra mówi (do cienia): *„Du hast das Ziel verloren: wehe, wie wirst du diesen Verlust verscherzen und verschmerzen?"*, a p. Berent tłumaczy: „Straciłeś cel: biada, jakże przebolejesz teraz tę stratę lekkomyślną?" (str. 384), podczas gdy w oryginale jest: „jakże tę stratę przeswawolisz i przecierpisz?"... Albo: *„aber noch unter Schelmen spricht die Ehre: „man soll nur stehlen, wo man nicht rauben kann"* — tłumaczy: „lecz nawet pośród łotrów powiada honor: „nie należy kraść tam, gdzie zrabować można" (str. 239)— czyli tłumaczy odwrotnie, bo w oryginale jest: „należy tylko kraść, gdzie nie można zrabować"... Albo: *„die buntesten Abgrund-Gründlinge"* tłumaczy: „te najbarwistsze twory dna" (str. 333), gdy w oryginale są „kiełbie otchłani". Stale pompatycznie nastrojony tłumacz nie uznał takiej, jak kiełbie, pospolitości! A może i tu odegrała rolę nieznajomość języka niemieckiego? (*Gründling* — kiełb)... Albo: *„wer Berge zu versetzen hat, der versetzt auch Täler und Niederungen"* — tłumaczy: „kto ma góry z posad wyważać, ten przenosi takoż doliny i niże" (str. 206) — także z pompa, chociaż w oryginale jest bardzo skromnie: „kto ma góry przenosić, ten przenosi także doliny i niziny"... Albo: najcichsza godzina mówi: „Powiedz słowo swoje i złam się!", a Zaratustra odpowiada: *„Ach, ist es mein Wort?"*, co znaczy: „Ah, czy to moje słowo?", a p. Berent tłumaczy to pytanie przez: „Och, wszakże moje to słowo?" (str. 205). Co tu robi to słówko „wszakże" —? To jest bez sensu. Albo: *„Mein Fuss — ist ein Pferdefuss; damit trappie und trabe ich über Stock und Stein..."* tłumaczy: „Ma noga — konia to noga; nią to tępam i cwałuję poprzez wykrot i głaz..." (str. 270), zamiast, jak być powinno, „przez góry i lasy", albo: „poprzez wertepy", bowiem „poprzez wykrot i głaz" przeciwi się duchowi języka polskiego i popularnemu w tym wypadku zwrotowi. P. Berent naiwnie tłumaczy słowo po słowie... Albo: *„unser Fell ist nur ein Lamm-Fell"* tłumacz przekłada na: „skóra jest futrem jagnięcia" (str. 281), co i w stosunku do oryginału i ze względu na język polski jest nonsensem (*Lammfell* — skóra jagnięcia, *Fell* — skóra, *jm. das Fell gerben* — wygarbować komu skórę, wychłostać i t. p.)... Albo: *„Dorthin führt der Weg"* p. Berent tłumaczy: „tędy mknie droga..." (str. 384), co jest pompatyczne i niepolskie. I t. d. I t. d. I t. d...

Muszę oszczędzać miejsca, więc tu przerywam ciąg tej kategorji „poprawek" tłumacza, uzupełnień „ozdobnych" (są i takie liczne w tym przekładzie dowolności!) i błędów, z nieznajomości języka płynących. Przejdźmy teraz do najciekwszego rodzaju uchybień tego osobliwego przekładu. Ponumerujemy je:

1) W oryginale: *„ein lebendiger Leuchtturm unbesiegbaren Lebens"*, a w przekładzie: „niby wieża ogniowa niepokonanego życia" (str. 224). Tłumacz nie wie, że *„Leuchtturm"* znaczy „latarnia morska", a mógł był dowiedzieć się o tem, jeżeli nie ze słownika, to bodaj z następujących bezpośrednio zdań oryginału, gdzie mowa o czuwaniu w tej latarni morskiej.

2) W oryginale: *„nach dem werfe ich nun meine goldene Angelrute aus und spreche"*... a w przekładzie: „w jego to wody zanurzam swą złotą różczkę wędkową i mówię"... (str. 333). Tłumacz nie wie, że *„Angelrute"* znaczy „wędzisko", i zadowolony jest ze swojej „różczki wędkowej"...

3) W oryginale: *„Herrschsucht: die boshafte Bremse, die den eitelsten Völkern aufgesetzt wird..."*, a w przekładzie: „Żądza panowania: złośliwy hamulec, nakładany najpróżniejszym ludom"... (str. 266). Wprawdzie *„Bremse"* znaczy „hamulec", ale tak samo znaczy „giez, bąk", a w danym wypadku nie może być wątpliwości, że tu o złośliwego bąka chodzi, a nie o hamulec. Tłumacz nie zrozumiał myśli, i rozumne zdanie oryginału przerobił na nonsens.

4) W oryginale: *„Es sind süssliche zudringliche Hunde, sie vergolden Palmenblätter"*... a w przekładzie: „To są mdłe, natrętne psy, one ozłacają liście palmowe". (str. 342). W mowie niemieckiej *„vergolden Pallmenblätter"* jest-to wyrażenie równoznaczne z polskiem „kadzeniem pochlebstwami". Tłumacz z całym spokojem wypisuje głupstwo językowe.

5) W oryginale: *„Stellt kleine gute vollkommen Dinge um euch, ihr höheren Menschen! Deren goldene Reife heilt das Herz.."*, a w przekładzie: „Otaczajcie się, ludzie wyżsi, doskonałemi rzeczami! Ich złote obręcze koją serce"... (str. 411). Tłumaczowi nie przyszło do głowy, że w niemieckiem obok *„der Reif"* — „szron", albo *„der Reifen"*—„obręcz" istnieje słowo *„die Reife"* co znaczy „dojrzałość". Dziecko zrozumiałoby, że tu chodzi o dojrzałość rzeczy doskonałych, a to tembardziej, że owe „obręcze" i gramatycznie i z treści są tu poprostu pozbawione sensu. Pomijam już to, że tłumacz opuścił w zdaniu dwa ważne dla treści przymiotniki: *„kleine"* i *„gute"* — „małe" i „dobre".

6) W oryginale: *„An diesen Reimen Zarathustras weideten sich die Könige..."*, co znaczy: „królowie napawali się temi rymami Zaratustry", a w przekładzie p. Berenta: „Na tych rymach Zaratustry paśli się królowie"... (str. 345). To już, doprawdy jest wzruszające! Gdyby jakie bobo pięcioletnie tak powiedziało, jakaż by to była do łez uciecha dla mamy i taty! Tu zaś powinna być uciecha dla Akademji.

7) W oryginale: *„Mein Mundwerk — ist des Volks: zu grob und herzlich rede ich für die Seidenhasen. Und noch fremder klingt mein Wort allen Tinten-Fischen un Feder-Füchsen."*, a w przekładzie: „Me usta — ludu to usta: nadto zgruba, nadto serdecznie gadam ja dla jedwabistych zajęcy. A bardziej jeszcze obco brzmi ma mowa atramentnicom oraz lisom biurkowym". (str. 270). Uczcijmy rzecz odpowiednią dozą śmiechu, aby następnie ze spokojem pobłażliwości wytłumaczyć tłumaczowi, że *„Seidenhasen"* oznacza w mowie niemieckiej „gładyszów", a *„Feder-Füchse"* — „lichych pisarzów" czyli „pismaków". Powinno być zatem w przekładzie coś w rodzaju zdań następujących: „zbyt rubasznie i serdecznie

mówię dla gładyszów. A jeszcze bardziej obco brzmi słowo moje mątwom wszelakim i pismakom".

Przypuśćmy, że jakiś Wacio Dłubinosek w dwunastym roku życia swego tłumaczy z niemieckiego na polski trudne wypracowanie. Szuka słów w słowniku. *„Seiden"* — to „jedwabny", a *„Hase"* — to „zając". Aha! Więc razem będzie: „jedwabistych zajęcy". Zaś opodal: *„Feder"* — to „pióro" a *„Fuchs"* — to „lis". Aha! Więc razem będzie: „lisom piórowym", ale że tata pisze piórem przy biurku, więc ładniej będzie: „lisom biurkowym". Sądzę jednak, że nawet ów Wacio Dłubinosek, gdy słowa te w zdania ułożyć zechce, zatrzyma się przezornie, bo dojrzy, że coś tu jest nie w porządku. Zdobędzie się na tyle taktu, że opuści słowa tak niepewne i na ich miejscu białe pozostawi plamy w zeszycie. Pójdzie po radę do taty. Dlaczego tym wzorem nie postąpił p. Berent? Odpowiedź na to pytanie pozostawiam wnikliwej psychologji p. Boy'a, akademickiego kolegi p. Berenta...

Nawiasem przypominam, że przytoczony powyżej werset Zaratustry jest właśnie jednem z tych powiedzeń (o czem wspominałem), w których Nietzsche zdaje sobie sprawę z prostoty stylu i ducha swojego. Takiego pisarza tłumaczyć sposobem barokowo-groteskowo-pokręconym w formie, a pofałszowanym w treści — to, istotnie, odwaga, na którą może zdobyć się tylko zupełna ciemnota.

Na tem kończę uwagi o przekładzie p. Berenta. Wyzyskałem tylko drobną cząstkę materjału, który zgromadziłem. Niema w tygodniku miejsca na więcej. Musiałbym zapełnić duży tom o dwustu stronicach, gdybym chciał choć pobieżnie omówić wszystkie błędy, opuszczenia, dodatki „ozdóbkowe", wykrętasy mowy, głupstwa językowe, nonsensy i całą wogóle epileptyczną brzydotę przekładu p. Berenta. Zakreślałem to wszystko w książce czerwonym ołówkiem. Niema stronicy w tym egzemplarzu, którаby nie pstrzyła się kilkunastoma krwawemi plamami. To dość, aby ocenić wartość całego przekładu. A wszystko to mieści się w wydaniu trzeciem, o którem tytuł głosi, że jest „przejrzane i ponownie porównane z oryginałem"...

W przedmowie i posłowiu przekładu czytamy o „długowieczności" dzieła, o jego „tej powadze i znaczeniu"... i t. p. słowa górne, poważne, majestatyczne, a zarazem wyniosłe i względem społeczeństwa polskiego — za jego jakoby brak kultury — wzgardliwe i karcące. *Medice!* — trzeba na to powiedzieć... *cura te ipsum!* A co do długowieczności, to przekład p. Berenta zostanie, owszem, na długo, ale jako okaz nieuctwa, zarozumiałości i tupetu „lisów biurkowych".

W sumie: p. Berent 1-o nie zna języka niemieckiego, 2-o nie zna języka polskiego, 3-o nie rozumie tego, co tłumaczy, i 4-o nie zdaje sobie sprawy z tego, co sam wypisuje. To — co do osoby tłumacza. Wniosków o szerszym zakresie można stąd wysnuć sporo, ale na to już tu nie pora. Zaznaczmy tylko jeden — na zakończenie szkicu.

Akademja Literatury Polskiej ma być zakładem o najwyższej powadze w sprawach polskiej kultury literackiej. Myślące warstwy naszego społeczeństwa powinne znać poziom umysłowy i kulturalny mianowanych członków Akademji. Jest on bardzo rozmaity, a skala tej rozmaitości o wiele przewyższa nawet liberalną (czyli — niechlujną) rozpiętość najpospolitszych klubów towarzyskich. Oprawionego (w ramy niniejszej rozprawki) akademika — tłumacza, kawalera *„Polonia Restituta"* trzeba umieścić na dolnym, bardzo tłumnym jej końcu...

Nie tyle w wawrzynowych, ile w warzywnych ogrodach owego nie tyle Aka — ile Kakademosa, w wielkiem są poważaniu przeróżne „lisy biurkowe" i „jedwabiste zające".

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

EMIL GEBHART

PASTERKA PAPIEŻA GRZEGORZA VII

RANKIEM[1]) w wigilję Bożego Narodzenia stało się w Rzymie wiadomo, że o północy papież odprawi Mszę świętą Pasterską u Panny Marji Większej. Oczekiwano tłumu wiernych zewsząd.

Było atoli pochmurno i dął wicher *sirocco*. Popołudniu ściemniało nagle i rozszalała się burza — „jakoby upusty niebieskie (wedle świadectwa kronikarza) lunęły nowym potopem".

Mieszczanie rzymscy, wobec tak wściekłej pluty, poszli do łóżek, zamiast do kościoła, oddawszy pieczę nad Dzieciątkiem Jezus samym tylko bydlątkom przy żłobie. Ani spostrzegli we śnie, że burza pomału umilkła.

A jednak sporo pielgrzymów kręciło się pod Panną Marją o północy... Nie po chrześcijańsku jednak wyglądał ten lud: stronił od światła, bijącego z okien, miał dzidy i kordelasy zamiast różańców, a pilnie patrzył w stronę Lateranu.

Rozległ się nagły gwizd. Cienie wsiąknęły w mrok, z którego się wyłonił niepokaźny orszak. Dwaj halabardnicy szli na czele, tuż za nimi zakonnik z potrójnym krzyżem pontyfikalnym, kilku kleryków z latarniami, dwuch kardynałów na mułach, wreszcie lektyka, obramiona purpurą. Siedział w niej nikły starzec, o twarzy bardzo surowej, w płaszczu czerwonym i z krzyżem złotym na piersi.

Otwarto wielkie podwoje kościelne; światło padło na orszak; kardynałowie zsiedli z mułów. I wstąpił Grzegorz VII do bazyliki, oświetlonej, lecz pustej.

Papież rozejrzał się ze smutkiem. Tu i ówdzie klęczeli nieliczni tylko pasterze w dziurawych opończach, oraz nieokrzesani parobcy, którzy przywędrowali zdaleka. Wyciągnął ku nim rękę z błogosławieństwem papieskiem.

Kanonicy od Panny Marji Większej procesjonalnie powiedli Ojca świętego do tronu przed głównym ołtarzem. Tam przywdział albę, kapę bizantyjską, oraz *pallium* usiane krzyżami; pacholęta w komeżkach podały mu tjarę z pastorałem. Jako djakoni i subdjakoni, stanęli kardynałowie. Grzegorz pochylił głowę i zaczął Mszę świętą.

Brzęk upuszczonej dzidy przerwał ciszę konsekracji. Jeden z kardynałów obrócił głowę ku drzwiom. Do Panny Marji tłoczyła się jakaś ciżba.

[1]) Przekład niniejszy odczytany był przez tłumacza na tegorocznej uroczystej Akademji Papieskiej w Sali Rady Miejskiej w Warszawie.

W chwili, gdy papież wkładał do kielicha cząstkę Hostji poświęconej, rozległ się groźny hałas w głębi bazyliki. Księża oraz klerycy obejrzeli się: środkiem głównej nawy biegła gromada zbrojnych, a prowadził ją człowiek, którego imię samo już przyprawiało Rzymian o dreszcz.

Banda jęła biedz prędzej, bluźniąc i krzycząc: „Bij zabij!“ Kler pośpieszył naprzeciw, aby osłonić papieża. W presbiterjum drzewcami roztrącono obrońców. Nieopodal ołtarza zatrzymali się zbójcy. Ich wódz, baron Cencjusz, sam jeden ważył się podejść do Grzegorza VII. Uderzył go w prawe ramię. Dopiero wówczas papież spojrzał na niego i bolesnemi słowami Jezusa do Judasza w owym ogrójcu oliwnym, — zapytał:

— Przyjacielu, nacoś przyszedł?

Cencjusz w odpowiedzi jednem szarpnięciem oderwał Grzegorza od Stołu św. Ofiary. Żołdactwo schwytało starca i uprowadziło pomimo błagań duchowieństwa.

Przez śpiące miasto pomknął orszak upiorny, pokrzykując z dziką radością. Grzegorz, posadzony na konia przed jednym z hersztów i otoczony zbliska gromadą jezdnych, ani razu ust nie otworzył z modlitwą, albo klątwą.

Banda stanęła przed cytadelą Cencjusza. On sam wprowadził jeńca na górne piętro do celi z oknem na dziedziniec wewnętrzny i rzekł:

— Siedź tutaj. Jak się rozwidni, pogadamy. Jeżeli chcesz pokoju, to ci go sprzedam drogo. Jeśli chcesz wojny, to będziesz miał taką, że jeszcze i prawnuki twoich kardynałów dostaną drżączki na samo jej wspomnienie.

I wyszedł, zostawiając Grzegorza samego w ciemności...

Minęły długie godziny. Grzegorz, ujrzawszy w szarem świetle zimowego rana podarte szaty pontyfikalne na sobie, odczuł jeszcze boleśniej ciężar swojej niedoli. Z goryczą wracał myślami do bazyliki rozśpiewanej, gdzie błogosławił dziatwę i pasterzy, — i do przerwanej Ofiary, — i do Krwi Pańskiej, zostawionej w kielichu na ołtarzu.

Dały się słyszeć ciężkie kroki. Na progu stanął Cencjusz.

— Spałeś? — zapytał papieża.

— Modliłem się, — brzmiała odpowiedź.

— „Ojczenasze” mnichów nie przebiją pułapu zamkowego. Sam chyba czujesz, że cię twój Pan Bóg opuścił.

— Pan Bóg opuścił własnego Syna na krzyżu między łotrami... Ale tylko na trzy dni. Poczekam i ja.

— Poczekasz nie trzy dni, ale tygodnie, lub lata, jeżeli mnie się będzie podobało. Jesteś zabawką w mojem ręku. Czeka cię turma, głód i samotność, o ile nie ulegniesz.

— Czego żądasz odemnie? Jam pasterz i włodarz wszystkich dusz. Nic nie wymusisz na mnie wbrew sumieniu.

— Mocen jestem cię wydać na tortury i na śmierć.

— Będzie to dla mnie pokutą za winy. Kościołowi niezbędna jest obecnie krew męczenników, aby mógł obmyć swoje zmazy.

Cencjusz wzruszył ramionami.

— Najpierw masz złożyć władzę w ręce wysokiej szlachty, którą poniżyłeś. Oddasz nam prawo wyboru papieża, który będzie nad nami panował za pozwoleniem cesarza, naszego najwyższego pana.

— Będę papieżem do ostatniego swego tchu. Panem moim jest tylko Bóg. Co masz czynić, czyń prędzej. Ale wiedz, że panem wszystkich królów, władcą wszystkich cesarzy—jest papież, na którego podniesiesz rękę, wasalu i ojcobójco, jeżeli...

Cencjusz zacisnął pięści w gniewie i podszedł ku starcowi.

— ...jeżeli Bóg ci zostawi czas na tę zbrodnię. Słuchaj, już niecierpliwi się Jego sprawiedliwość!

Z oddali dał się słyszeć gwar ciągnącego tłumu. Cencjusz zatrzymał cios i nadstawił ucha. Zdawało się, że cały Rzym zerwał się na nogi, ażeby biec pod cytadelę zbuntowanego barona.

— — — — — — — — — — — —

Już pierwsza fala tego ludzkiego morza tak mocno biła w mur, że drgała cała budowla. Cencjusz porzucił swojego niewolnika wpół słowa. Pędem wbiegł na wieżę. Awangarda armji papieskiej już zstępowała z siedmiu pagórków ku twierdzy. Wlepione w zamek oczy kogoś wypatrywały. Nagle poznano Cencjusza na wieży i buchnął zewsząd zgodny okrzyk: „Grzegorza!”

Rzym przyszedł się upomnieć o swojego pasterza.

Baron skrzyknął załogę i wskazał swoim oczajduszom posterunki. Do upadłego postanowił się bronić.

— — — — — — — — — — — —

Po krwawej walce już o zmierzchu wieczornym złamano opór oblężonych. Tłum wdarł się do zamku. Na schodach przyszło zdobywać każdy stopień pokolei.

Grzegorz czuł, że się zbliża chwila rozstrzygająca.. Przerwał modły i spojrzał. — Pacholę zalane łzami, wyciągało do niego błagalnie ręce od progu.

— Kto jest i czego chcesz odemnie, mój synu? Nie znajdziesz tutaj schronienia: anioł śmierci już stoi we drzwiach i lada chwila wejdzie.

— Jestem Wiktoryn, syn Cencjusza. Matki już nie mam. Ojciec, nie wiem dlaczego, wychowuje mię surowo, nigdy mię nie całuje, nigdy nie sadza ze sobą przy stole. Wczoraj zamknął mię w celi nieopodal stąd i zabronił wychodzić, dopóki nie zawoła. Z tego zgiełku pojąłem, że w zamku wre bitwa. Atoli nie wiedziałem, ani z kim ojciec walczy, ani o co. Dopiero pewien ranny wszystko mi powiedział, gdy wpadł przed chwilą do mnie, aby rany przewiązać. I oto jestem tutaj. Ojcze, zmiłuj się, przebacz moje zuchwalstwo. Jam niedorostek bezbronny i bezradny, ale niechcę, mój ojcze, aby targnięto się na twoje życie. Matka konając, szepnęła mi do ucha słowa, o których nigdy nie zapomnę. Przysiągłem, że dopełnię jej ostatniej woli. Obiecałem, że będę z czasem obrońcą Kościoła i wiernym synem tej naszej wspólnej macierzy. Dziś pora spełnić ten ślub. Oni nie będą śmieli zabić ciebie, jeżeli przedtem wypadnie im rozprawić się z synem ich pana... A choćbym tylko na chwilę zatrzymał zbirów prośbami, twoi stronnicy zyskają na czasie i może zdążą cię ocalić.

Następnie dodał nieśmiało i z wahaniem:

— A wtedy... wtedy ciebie błagać będę o przebaczenie — dla niego.

— Biedne dziecko, — rzekł Grzegorz, — biedny mały rycerzyk... Chodź do mnie i niechaj naszą słabość Bóg osłania puklerzem.

Walka toczyła się teraz tuż obok w ciasnym korytarzu. Dolatywał stamtąd twardy głos Cencjusza, rzucającego raz po raz krótkie słowa komendy.

Nagle zrobiło się cicho. Baron gwałtownie pchnął drzwi celi i runął na kolana przed Grzegorzem VII.

Był trupio blady. Miał zalękniony wzrok człowieka, pewnego zguby nieuniknionej, wzrok rozbitka na pełnem morzu podczas burzy. Pancerz na nim był podziurawiony i poplamiony krwią. Na ziemię z rąk upuścił swój złamany miecz.

Papież i dziecko zerwali się z ławy, a nędznik błagał na klęczkach:

— Przebacz mi, oto leżę krzyżem u stóp twoich! Przebacz mi zbrodnię! Bezbożnie pokalałem ołtarz i żłobek Jezusa, z kościoła porwałem ciebie—mego pasterza i mego władcę na Stolicy Apostolskiej. Miłosierdzia! Zadaj mi srogą pokutę, ale mię broń przed twym ludem i zasłoń od sądu Boga!

Papież stał nieruchomo; nawet nie raczył spojrzeć na Cencjusza. Współczucie nie złagodziło smutku i surowości jego twarzy. Wiktoryn pojął nieubłagane postanowienie Grzegorza, więc się przytulił do piersi papieskiej i wyszeptał: „Błogosławieni miłosierni“...

A wtenczas papież spojrzał na leżącego u swoich nóg ojcobójcę i powiedział:

— Chrystus przebaczył swoim katom, a więc i ja, sługa sług Chrystusowych, winienem ci przebaczyć. Niech twoją zbrodnię zmyje krew Pana Jezusa. Ponieważ jednak gwałt zadałeś Św. Kościołowi Rzymskiemu w mojej osobie, — targnąłeś się na *Tabernaculum* Pana nad Pany, — trzeba, abyś odpokutował za to. Pójdziesz do Jeruzalem sam jeden, z torbą i kijem pątnika, będziesz się kajał w Ogrojcu oliwnym i będziesz się bił w piersi na Kalwarji, gdzie Bóg zniósł mękę konania, ukrzyżowany przez żydów. A tego synka twojego ja zachowam przy sobie. Teraz zawezwij wodzów mego ludu; rozkażę im, aby cię zostawili przy życiu.

Weszli dowódcy wojsk papieskich z Lateranu i Kapitolu. Grzegorz oddał im Cencjusza i — wziąwszy za rękę jego syna, stanął na czele wiernych. Kiedy się zjawił na tarasie zamkowym, okrzyk radości niezmiernej go powitał. Uczynił nad tłumami znak krzyża i ukląkł.

— Ten oto człowiek, — powiedział papież powstawszy,—ten oto człowiek dostał rozgrzeszenie i obiecał poprawę. Niechaj go nikt nie znieważm kiedy opuści ten dom. To mój gość. Odpowiadaa, za niego przed Bogiem. Jest to pątnik ubogi, pielgrzymujący do Jeruzalem A teraz, dziatki moje, zanieście mię na ramionach do Panny Marji Większej, kędy Bóg oczekuje na mnie od wczoraj na ołtarzu.

— — — — — — — — — — — —

U Panny Marji Większej lud zgotował Grzegorzowi VII powitanie wspaniałe. W bazylice wzniesiono *sedia gestatoria*, ażeby triumfalnie umieścić tam wyzwolonego papieża. O zachodzie słońca Grzegorz nanowo puścił się w drogę, którą nocy poprzedniej przebył jako jeniec.

A w miarę posuwania się orszaku papieskiego, oświetlały się ciemne zazwyczaj ulice, kościoły, zamki i klasztory. Domy zdobiono naprędce girlandami. We wszystkich rękach jaśniały świece, pochodnie albo lampy. Pienia ludowe dolatywały ze wszech stron. Zmęczony wzruszeniami, które przeżył, nawpół omdlały, niesiony na ramionach wiernego ludu, Grzegorz VII wracał powoli do swojego kościoła.

Od Panny Marji Większej wyszła procesjonalnie naprzeciw niego kapituła i uklękła u wrót. Wysiadł z lektyki nie bez trudu, ale do nawy głównej wstąpił krokiem mocnym.

Kleryk podał mu wodę w srebrnej miednicy, ale szat liturgicznych, poszarpanych przez zbójców, papież zdjąć z siebie nie pozwolił: Wszedł w nich na stopnie ołtarza. Pochylił głowę i trwał chwilę w modlitwie. Potem odsłonił kielich i przyjął Komunję świętą.

„I tak się oto stało“,—pisze w prostocie ducha kronikarz ówczesny, — „że będąc naczczo od poprzedniego dnia, papież zakończył, — kiedy noc zapadła, — Pasterkę, rozpoczętą o pierwszem pianiu kurów.“

Przełożył
STANISŁAW MIŁASZEWSKI

PIOSENKA O UBOŻĘCIU

A to ciche Ubożę
mieszka u nas w komorze,
za bierwionem, w szczelinie,
ze świerszczykiem w kominie.

Zbrojni wolą mężowie
bić hołd Światowidowi:
idą, jadą we światy
krwawe nieść mu objaty.

Miałam cielca siwego,
strzegłam go od małego,
poiłam wodą czystą,
pasłam trawą soczystą.

Za dwa bicze korali
bracia mi go zabrali,
za dwa kolce bursztynu
wzięli go do gontyny.

W ofierze z mnogiem bydłem
przed możnym Światowidem
zakłuto mego cielca
ulubionego wielce!

A Uboże nie straszy...
Trochę miodu i kaszy,
Trochę mleka i prosa,
i piosenka w pół-głosu.

Mocna, lekka jak pianka,
z pajęczyny sukmanka,
z kory białej brzozowej
łapcie, chodaczki nowe.

Z wełny czystej jagnięcia
kożuch dla Ubożęcia,
a z mysiego futerka
dla Ubożątka derka.

Włożę bursztyn, korale,
Ubożątko pochwalę,
stanę tu przy kominie:
może do mnie wychynie,
może spojrzy łaskawie,
moją dolę poprawi!

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

NA WIDOWNI

Polemika „Tygodnika illustrowanego" — Nasze pojęcia o przeszłości Polski — Wpływ szkoły krakowskiej — Nowe czasy i nowe potrzeby — Dawna firma ze świeżym wspólnikiem.

„TYGODNIK ILLUSTROWANY" w ostatnim zeszycie (4. III b. r.) poddał krytyce niektóre tezy odczytu mego p. t. „Powrót do staropolszczyzny", wygłoszonego w styczniu r. b. w Uniwersytecie Poznańskim, a opublikowanego w skrócie w wydawanym w Poznaniu dwutygodniku radykalno-narodowym „Głos" (nr. 4 z dn. 15. II b. r.). Polemikę utrzymano w tonie przyzwoitym, poprzedzając ją nawet lojalnem zastrzeżeniem: „o ile streszczenie jest wierne". „Tygodnikowi" mianowicie nietrafną najzupełniej wydaje się wypowiedziana przezemnie opinja, że „odzyskanie państwa stwarza warunki", w których „literatura dawnego państwa staje się dla nas zrozumialszą, niż literatura czasów niewoli". „Gdzie" — zapytuje— „są te objawy szczególniejszego zainteresowania?" Zapewne, nie wymieniłem ich i nie na tem bynajmniej zależało mi w całym moim wywodzie. Ale czyż tak bardzo lekkomyślnie jest prorokować, widząc w marcu pole zasypane śniegiem, że niedługo już pokryje się ono świeżą zielenią?

Nasz stosunek psychiczny do Polski przedrozbiorowej, sądy i wyobrażenia o niej ciągle jeszcze pozostają odbiciem pojęć, wytworzonych pod władzą zaborców. Słusznie całkiem zauważa p. St. Zalewski w ogłoszonej niedawno książce „Blok czerwono-błękitny"[1]), że u podstaw dzisiejszej polityki „sanacyjnej" leży pogląd na dzieje Polski i ich ocena, ukształtowana pod wpływem historycznej szkoły krakowskiej. Oskarżycielskie wnioski tej szkoły, zwłaszcza dzięki inteligencji i talentowi Bobrzyńskiego, w ogromnej mierze urabiały przekonania o narodzie, równie na prawem, jak i na lewem skrzydle obozu obecnie rządzącego; co więcej, przyjęło je — nie zawsze nawet zupełnie świadomie — całe nieomal, starsze przedewszystkiem pokolenie warstwy oświeconej i w nich też miało gotowy sprawdzian wartości zjawisk politycznych doby bieżącej: „Rzucenie w kogoś nazwą „szlacheckiej anarchji", potraktowanie opozycji mianem „*liberum veto*" wystarcza dla wywołania rzetelnego niepokoju opinji i przechylenia nastrojów ku sobie"[2]). Nie dziw, że w podobnym stanie umysłów i przy takiej postawie moralnej wobec przeszłości, publicysta organu oficjalnego, obwieszczając jakiś sukces „sanacji", woła z triumfem: „oto koniec starej Polski szlacheckiej!", że główna cenność „nowej konstytucji", czy idei „trzymania społeczeństwa za twarz" na tem — według jej zwolenników — polega, iż tak gruntownie sprzeczna jest z odwiecznemi tradycjami narodu i dziedzictwem dawnej Rzeczypospolitej...

Jakże łatwo byle dziennikarz czy nauczyciel potępia dziś lub lekceważy spuściznę dziejową Polski, tem pochopniej, im mniej zechciał zadać sobie fatygi, ażeby ją poznać bliżej i zrozumieć! Od lat szkolnych przyzwyczajano nas szukać w sobie „wad narodowych", odziedziczonych po przodkach, które należy „wykorzenić" oraz zwracać uwagę na zalety, których „trzeba uczyć się od innych". Zagłębialiśmy się w nasz charakter narodowy z myślą, co z niego wyplenić, nie co zachować, oczyścić, udoskonalić. Zrozumiałe też, że tak łatwo w ostatnich czasach żydziejemy, tak bez trudności przejmujemy styl życia, myślenia i odczuwania według wzorów z ulicy Gęsiej czy Zamenhofa. Polski gust, polski obyczaj w tej czy innej dziedzinie nie jest przecież czemś „samem w sobie", oderwanem, stanowi część harmonijnej, jednolitej cywilizacji i nie można rachować, że się ostoi, jeżeli całość, z którą jest logicznie związany, będzie szła równocześnie w poniewierkę.

Ale właśnie fakt odzyskania niepodległości z natury rzeczy spowodować musi prędzej czy później zmianę zupełną tej postawy psychicznej w stosunku do przeszłości narodu. W latach niewoli, przy nieistnieniu konkretnych, bezpośrednich doświadczeń własnego państwowego bytu, nie trudno wytłumaczyć Bobrzyńskiego, iż tak dziwaczne, osobliwe wydawały mu się formy życia publicznego dawnej Rzplitej, zwłaszcza skoro podświadomie oceniał je według miary „normalnych", „rozumnych" urządzeń politycznych monarchji austro-węgierskiej, której trwałość i potęga mocarstwowa wielce mu, jak wiadomo, imponowały. Dla całego zresztą społeczeństwa, wychowanego w obcych ustrojach państwowych, naturalną musiała stać się— z biegiem czasu — koncepcja, że przyszła Polska byłaby takiem samem państwem, jak zaborcze, tylko swojem, że wystarczyłoby przenieść stolicę z Wiednia czy Petersburga do Warszawy, orłem białym na „trafikach" i gmachach urzędowych zastąpić czarnego, dwugłowego—a już Polak odzyska dawniejszą swobodę, osiągnie urzeczywistnienie pełni swych marzeń. Dopiero kilkanaście lat w odbudowanej Rzeczypospolitej zaczyna nas uczyć o tem, że i we własnem państwie naród może się czuć nieswojsko, skrępowany, jeżeli system rządzenia, formy prawne obce będą jego głębokim, dziedzicznym instynktom, chociażby nawet zagłuszanym przez doktrynę polityczną, utarte sądy czy też nałogi myślowe, pozostałe po okresie niewoli. I wówczas musi on wejrzeć w siebie, we własne dzieje, by zgodnie z niemi tworzyć swoją teraźniejszość i swoją przyszłość.

W tem znaczeniu czasy, które nadchodzą, zapowiadają „powrót do staropolszczyzny", do zasobów dawnej wielkości i chwały, do zdrowia rodzimej cywilizacji. Idąc po tej drodze, ku źródłom, trafi się i do Czarnolasu i do Nagłowic, ale zainteresowanie literaturą staropolską — to tylko fragment ruchu o wiele ogólniejszego i większego, nakazanego potrzebą chwili, normalniejszym, nie zaprawnym już goryczą niewolnika poglądem na dorobek pokoleń minionych. Naród bowiem, przedewszystkiem i nadewszystko, musi być s o b ą, nie z nazwy tylko, ale w poczuciu historycznej ciągłości cywilizacyjnej, musi cech swych nie pozbywać się, ale je kształcić, nadawać im treść coraz głębszą i szlachetniejszą, coraz bogatszą, a jednocześnie coraz bardziej własną, oryginalną. I — wbrew wszystkiemu — niewiele w nim będą mieć do roboty żywioły, które tradycje polityczne i kulturalne dawnej Polski chciałyby pogardliwie usunąć, by w uprzątniętym tym sposobem lokalu („zupełna wyprzedaż!") pod dawną firmą rozpocząć „całkiem nowy interes", zaangażowawszy świeże „kapitały moralne" przez dopuszczenie żydowskiego współzarządcy i wspólnika.

JAN REMBIELIŃSKI

[1]) Stanisław Zalewski: „Blok czerwono-błękitny". Warszawa 1933, Druk. St. Niemiry Syn i S-ka.

[2]) *ibid.* str. 13.

GŁOSY

NADER TRAFNE i ZASADNICZEGO ZNACZENIA UWAGI wygłosił sen. Stanisław Kozicki na temat kwestji żydowskiej, w swem przemówieniu w dn. 2 b. m. w Senacie:

„Naród żydowski“ — mówił — „nie jest taki, jak inne narody. Jest to naród bez stałego terytorjum, który sobie szuka w ciągu wieków coraz to nowego... Miał je już w różnych miejscach. Dzisiaj tak się stosunki układają, że naród żydowski szuka sobie terytorjum właśnie na ziemiach polskich.., a będą szukali coraz bardziej, bo dzisiaj ich usuwają z Niemiec, jutro z Austrji, pojutrze z Francji, a tymczasem kryzys gospodarczy wytwarza ciasnotę i nędzę. Jeżeli panowie rozejrzą się koło siebie, to zobaczą, że tej nędzy jest coraz więcej i będzie coraz więcej. Będzie coraz mniej miejsc dla lekarzy, adwokatów, coraz mniej miejsc dla kupców...

Tragizm zagadnienia żydowskiego polega na tem, kogo wybrać, Polaka, czy żyda. Jeśli się wybiera, wchodzi się w konflikty, jeśli sie wybiera, musi się postawić na pierwszem miejscu albo Polaka, albo żyda. Naród polski musi wybrać, czy chce, żeby synowie jego robotników i włościan znajdowali stanowiska w wolnych zawodach, w handlu, w rzemiośle, czy też zgadza się, żeby te stanowiska były zajęte przez kogo innego...

Druga kwestja wynika z psychologji narodu żydowskiego... Żydzi usiłują temu środowisku, wśród którego się znajdują, narzucić swój sposób myślenia, swoje gusta, swoje przyzwyczajenia. I wytwarza się to, że kultura tego środowiska jest dezorganizowana, podbijana przez kulturę sobie obcą, a wtedy buntuje się psyche narodu polskiego; to jest drugi węzeł tragiczny sprawy żydowskiej. (S. Evert: Jak rozstrzygnąć?). Tak jak wielkie sprawy dziejowe są rozstrzygane, przez walkę. Każdy obywatel i każdy rząd w Polsce musi stanąć przed zagadnieniem rozwiązania sprawy żydowskiej. Jeżeli przed niem stanie i zechce rozwiązać z punktu widzenia przyszłości państwa polskiego, jako wyrazu życia narodu polskiego, to musi dążyć do ograniczenia praw politycznych żydów i do usunięcia jak największej ilości żydów z ziem polskich.“

Zwracamy szczególniejszą uwagę na ostatnie zdanie, jest ono bowiem doniosłem oświadczeniem politycznem. Po raz pierwszy w Senacie Rzeczypospolitej wysunięty został tak jawnie i wyraźnie program zerwania z dotychczasowem równouprawnieniem żydów w Polsce, program ograniczenia praw politycznych żydów i planowego wysiedlania ich z naszego państwa. Programu tego nie da się już usunąć w cień ani przemilczeć. O ten program właśnie toczyć się będzie właściwa walka polityczna w społeczeństwi i stosunek do niego rozstrzyganie ostatecznie o tem czy innem ugrupowaniu się sił i obozów partyjnych w naszym kraju.

JESTEŚMY krajem wyjątkowej długowieczności Potwierdzenia tego faktu darmoby coprawda szukać w statystykach. Pod względem doskonałości urządzeń hygjenicznych jesteśmy wśród kulturalnych narodów Europy na szarym końcu. Mamy dużą śmiertelność i stosunkowo krótki przeciętny wiek życia ludzkiego. Niemniej dzierżymy wśród narodów kulturalnych swoisty rekord długowieczności. Coraz większa jest liczba ludzi, którym udaje się przeżyć swoje własne rodowe nazwisko. Pozatem widoczne jest, że wogóle życie jednostki ludzkiej w Polsce trwa dziś dłużej, niż życie instytucyj. Normalną zupełnie jest rzeczą dla członka partji przeżyć partję, dla członka organizacji—przeżyć organizację. A całkiem już oswoiliśmy się z tem, że długowieczność jednostki jest większa, niż trwanie mocy obowiązującej kodeksów prawnych, towarzyskich i honorowych. Zaiste, kraj Nestorów. Od żywotności tej odbija efemeryczność uroczystych więzów, mających krępować jednostkę niby do końca życia. Wspaniałe to przedłużenie życia ludzkiego jest dobrodziejstwem, któremi obdarzyła Polskę cywilizacja sanacyjna. Dzięki niej nawet młodzież u nas może się czuć starszą i bardziej szanowną, niż gdzieindziej. Legjon Młodych naprzykład może patrzeć śmiało na swoich rówieśników, czy to w Bolszewji, czy też w Anglji jak na młokosów. Młodzi bolszewicy nie są starsi od urządzeń bolszewickich. Nie trzeba też przypominać, że młodzi Anglicy nie są starsi od urządzeń politycznych angielskich. Natomiast w Polsce każdy młody ma to niezrównane poczucie, że mógłby być ojcem instytucyj politycznych, które najuroczyściej podawane są ku czci powszechnej. Każdy czuje się czcigodnym senjorem własnej konstytucji, a nawet Państwa, bo wypada mówić tylko o Nowem Państwie. Różne grupki młodzieży zamieniają się w konwenty senjorów, snujących wspomnienia o tem, że kiedyś były rządy prawa, albo wskrzeszających w pamięci legendę o jedności narodowej. Cóż dopiero powiedzieć o starszych, tworzących Nowe Państwo. Ci wszyscy prawie przeżyli swoje lojalności, przyjaźnie i wierzenia. Znam przynajmniej jednego rektora wyższej uczelni, który gratuluje sobie, że przeżył cywilizację. Matuzal ten, nie młodzik wprawdzie, trzyma się krzepko. A już szczególnie sędziwi muszą się sobie wydawać konserwatyści. Niema wśród nich ani jednego, któryby nie przeżył własnych konserwatywnych ideałów. Jakiż to wytrzymały materjał ludzki! Gdybyśmy byli ludem bardziej prymitywnym, kwalifikowaliby się na Radę Starców, odpowiadającą u dzikich plemion instytucji senatu. Utworzeniu się takiej instytucji przeszkadza fakt, że Polska nie jest dostatecznie dzika. Godne ubolewania jest, że gdy długowieczność, o której mówiliśmy, tak znacznie rozszerzyła granice życia jednostki, to jednocześnie szacunek dla nowej kategorji starców wcale się nie powiększył. Nie potęguje się wprost proporcjonalnie do tego, im więcej razy zmienił ktoś religję, żonę lub ideologję. Nie jest jeszcze we zwyczaju kłaniać się niżej tym, którzy zmienili nazwisko. I można mieć serjo obawę, że długowieczność ludzi w Polsce nie utrzyma się na stałe. Zabije ją pogarda. I znów zasadą życia będzie, że dłużej klasztora niż przeora.

NAUKA I LITERATURA

NARODOWY PROGRAM GOSPODARCZY

POWOJENNA rzeczywistość Polski zdemokratyzowała zainteresowanie sprawami gospodarczemi. Pożyteczny ten w zasadzie prąd potoczył się nazbyt jednostronnie w kierunku interwencjonizmu państwowego, upatrując jedyne lekarstwo na niedomagania w działalności państwowej. Ostatnio prąd ten coraz mniej ma cech ustalania zasad przez politykę państwową, jeżeli je jeszcze wogóle posiada, a przekształca się na drobiazgowy i bezpośredni nadzór organów państwowych nad poszczególnemi przedsiębiorstwami, ich działalnością i składem osobowym. — Zatracając myśl gospodarczą i podporządkowując ją celom sprawowania władzy i osiągania korzyści, wytwarza chaos, w którym każdy goni za zyskiem bardzo doraźnym, nie myśląc o jutrze. Nawet organizacje gospodarcze kapitalistów ulegają kierunkowi, który zmierza do likwidacji samodzielnych przedsiębiorstw.

W takim układzie szczególnego znaczenia nabiera narodowa myśl gospodarcza, której wyraz znajdujemy w ostatniej rozprawie prof. Rybarskiego — „Podstawy narodowego programu gospodarczego“ (Warszawa, 1934, str. 75). Praca taka, zgodnie z jej charakterem, może zawierać tylko ogólne myśli, drogowskazy, bez wgłębiania się w ich szczegółowy rozwój. Nie może także wiele analizować i uzasadniać, winna stwierdzać. Stąd napewno znakomity uczony, pisząc tę książkę, musiał zwalczać przezwyczajenie do naukowych rozpraw, wymagających rozwinięcia i uzasadnienia stawianych tez. Mógł sobie jednak na to pozwolić, bez obawy o poważne zarzuty, gdyż dotychczasowy już dorobek naukowy Rybarskiego dostatecznie wyjaśnił i uzasadnił podstawy polityki gospodarczej, które ostatnia praca jakby resumuje. Podjęty trud był tem większy, że praca jest przeznaczona dla szerszych kół, którym (ale nie wyłącznie) skomplikowaną przyczynowość zjawisk gospodarczych trzeba wykładać przystępnie.

Nie zamierzamy streszczać rozprawy, bo jest to i niemożliwe i niecelowe. Każdy sam ją z pożytkiem przeczyta i dowie się, jakie jest ujęcie celów i roli gospodarstwa w ramach życia narodowego, jakie są zasady narodowego ustroju gospodarczego i jakiemi winny być podstawy i kierunek praktyczny polityki gospodarczej w Polsce. Zebranie w jednej rozprawie całokształtu narodowej myśli gospodarczej stwarza dobry punkt wyjścia do dalszego jej rozwoju i rozpowszechnienia.

Nie możemy nie podkreślić jednej cechy tej rozprawy— jej umiarkowania. Wprawdzie autor wysuwa niekiedy zasady, których wprowadzenie musi wywołać głębokie zmiany w strukturze naszego życia gospodarczego, ale zarówno same zalecane środki, jak i sposób ich omówienia noszą cechy dużego umiarkowania, które jest niezbędne w dziedzinie gospodarczej, a które zarazem towarzyszy wiedzy, nie potrzebującej kryć się pod frazes rewolucyjności. (K. M.)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W sam raz w 103 rocznicę powstania listopadowego, ukazała się nakładem Krakowskiego Oddziału Pol. Tow. Historycznego doskonała książka dr. Józefa Dutkiewicza p. t. „Austrja wobec powstania listopadowego“ (1933). Nie tak to dawne czasy, kiedy zaledwie szczupła garstka fachowych historyków, borykając się z trudnościami dotarcia do autentycznych źródeł, rzucała pierwsze naukowe sądy o tchnących współczesnością, i zdawałoby się czasem zbyt aktualnych, problemach dziejów narodu polskiego w XIX wieku. Dziś badania nad dziejami najnowszemi nietylko że zdobyły sobie prawo powszechnego obywatelstwa, nie tylko stały się palącym obowiązkiem historyków i historjografji, ale skupiły całe grono wybitnych badaczów, którzy wyłącznie zagadnieniom doby powstaniowej i popowstaniowej swe siły poświęciło. Po szeregu prac z dziedziny dziejów wewnętrznych i militarnych powstania listopadowego, przyszła kolej także na studja z dziejów dyplomacji powstaniowej.

Praca dr. Dutkiewicza jest w tym kierunku wręcz podstawowa. Oparłszy swój wykład na materjałach, zaczerpniętych w kraju i zagranicą (Wiedeń, Paryż, Londyn), dał nam autor ogromnie wnikliwy i bogaty obraz polityki insurekcji listopadowej wobec Austrji. Była to oczywiście polityka filoaustrjacka, obliczona nietylko na neutralność Austrji wobec powstania, ale na jej interwencję i poparcie w walce z caratem. Posuwała się ona tak daleko, że robiła konkretne nadzieje osadzenie na tronie polskim Habsburga, arcyksięcia Karola lub nawet samego Franciszka I. Dr. Dutkiewicz wykazał niezbicie, że dyplomacja powstańcza opierała się od samego początku powstania na fałszywych założeniach, że niedość jasno zdała sobie sprawę z powtórnego zbliżenia między Rosją i Austrją, i że liczyła nierealnie na jakiekolwiek względy i sympatje u wszechpotężnego Metternicha. Jedynym rezultatem pozytywnym było utrzymanie Austrji w faktycznej, życzliwej neutralności, którą zresztą tłumaczyć należy działaniem całego szeregu innych czynników wewnętrzno i zewnętrzno politycznych.

Pełne oświetlenie znajduje również interesująca działalność życzliwie dla Polski i powstania nastrojonego gubernatora Galicji, Lobkowicza. Na tle negocjacyj dyplomatycznych charakteryzuje dr. Dutkiewicz wyraziście pełną najlepszej woli choć niezbyt szczęśliwą i realną politykę prezesa Rządu Narodowego, Adama Czartoryskiego, dyletancką Skrzyneckiego, poprawnie urzędową ministrów spraw zagranicznych Małachowskiego i Horodyskiego, oraz umiarkowaną, choć mało przedsiębiorczą ambasadora w Wiedniu, Konstantego Czartoryskiego. Zakończył dr. Dutkiewicz swoje rozważania ciekawemi uwagami o patrjotyzmie Galicji, którą tylko wyraźne nakazy Rządu Narodowego powstrzymywały od pochwycenia za broń i o żywem poparciu dla idei powstańczej wśród Czechów i Węgrów. Praca dr. Dutkiewicza jest nietylko cennym wkładem w naszą znajomość dziejów powstania listopadowego, ale stanowi chlubne świadectwo wysokiego poziomu naukowego warsztatu, z którego wyszła, to jest seminarjum historji Polski Uniw. Jagiell., prof. Wł. Konopczyńskiego. (Z. Y.)

•

W jednym z numerów „Filomaty“ przypomniano starą anegdotkę grecką o eksperymencie lingwistycznym króla Psametycha; władca ten, chcąc dowiedzieć się, który język w świecie jest „najstarszy“, kazał wychowywać dwoje niemowląt w zupełnem odcięciu od mowy ludzkiej i obserwować, jakie wyrazy pierwsze z ust ich wyjdą. Obserwację kształtowania się pierwszych wyrazów mowy dziecięcej prowadzi się o wiele częściej w dzisiejszych czasach, ale służy ona już zgoła innym celom, a przytem i metodą posługuje się znacznie inną. Na różnicę mowy dziecięcej od mowy dorosłego człowieka zwracali uwagę już Grecy — mieli na to „gaworzenie“ specjalny termin *lalia* — ale odnośnych zjawisk lingwistycznych jeszcze przez długie wieki nie umiano wiązać z zagadnieniami psychologicznemi. Dziś, gdy psychologja mowy ludzkiej bardzo się pogłębiła, szczególnie pouczającego materjału dostarcza rozwój zasobów językowych, idący najszybciej u dziecka, jako u istoty o niestępionej jeszcze pamięci słuchowej (jakąż rację miały dawne szkoły, zaczynając naukę języków między 8—12 rokiem życia, a nie, jak obecnie, po 14-ym). Jeden z niewielu tych lingwistów, którzy są jednocześnie i zawodowymi pedagogami, prof. Z. Klemensiewicz poświęcił właśnie niedawno zwięzłą, ale pełną ciekawej treści broszurkę „Opiece rodziny nad mową dziecka“ (nakł. Książnica-Atlas). Autor stoi na słusznem stanowisku (kłócącem się z przyniesioną z Rosji ideologją), twierdząc, że pierwszym i najważniejszym etapem wychowawczym powinno być środowisko rodzinne. Niestety, środowisko to aż nazbyt często zadań swych nie spełnia. Niechlujstwo i niedołęstwo językowe, jakie niejednokrotnie zauważamy u dzisiejszej młodzieży, jest winą nietylko tych lub owych metod nauczania, tamujących zdolność jasnego i pełnego wysławiania się, ale też i rodziców, którzy nieraz wcale nie czuwają nad tą dziedziną rozwoju swych dzieci, co gorsza, czasami wręcz przyczyniają się do kaleczenia i zniekształcania ich mowy. Zamiast dawać z siebie przykład językowej poprawności, rodzice tacy idą na rękę wadom mowy dziecięcej, zwłaszcza przez t. zw. sztuczne spieszczanie wyrazów, przez naśladowanie przekręconych głosek, przez podchwytywanie i powtarzanie niedorzecznych zwrotów, jakie dziecko sobie w jakiejś chwili utworzyło. Dobra wymowa jest pierwszym warunkiem dobrego opanowania języka; drugim warunkiem jest piecza nad racjonalnem kształtowaniem się słownika: — zasób słów gromadzić się powinno systematycznie, najpierw przez rozmowę, następnie przez dobór lektury. Najtrudniejszą wreszcie sprawą — u dzieci już starszych—jest dozór nad t. zw. wymownością, idący w dwu kierunkach; jednym z nich jest zwalczanie niemocy wysłowienia się, drugim walka z frazeologją, gadulstwem, werbalizmem. Książka Klemensiewicza jest bardzo pożyteczna, powinna mieć wielkie rozpowszechnienie. (J. B.)

•

Nazwa Korelicz jest dla zwykłego Polaka niemal mityczną; jest bowiem znana ogólnie tylko ze wzmianki Gerwazego w „Panu Tadeuszu“ jako widocznie jednego z wielu zajazdów przed-soplicowskich. Bliższych szczegółów o tej miejscowości dowiadujemy się dzięki wydanej niedawno (nakł. Pol. Tow. Leśnego we Lwowie) broszurce Józefa Kobylańskiego „O dawnej instrukcji dla łowczego“. Otóż czytamy tam, że dwór w Koreliczach był w XVIII wieku własnością Radziwiłłów i stolicą puszcz radziwiłłowskich, z których jedna, Nalibocka, również w „Panu Tadeuszu“ uwieczniona została; w ten sposób wzbogacają się nasze wiadomości co do mickiewiczowskiego „kraju lat dziecinnych“, którego topografję tak zajmująco i wnikliwie wytyczył W. Borowy w pięknym szkicu z cyklu „Kamiennych rękawiczek“. Sama „instrukcja“ zawiera szczegóły nader ważne dla historyka obyczajowości polskiej; z jednej strony jest ona jakby surogatem ustawy łowieckiej o ochronie zwierzyny, z drugiej zaś ilustruje stosunek pana do chłopów pańszczyźnianych, obo-

wiązanych do świadczeń i posług także w dziedzinie leśnictwa i łowiectwa. W tym względzie jest ta ustawa dość surowa i bezwzględna; snać Radziwiłłowie nie oduosili się do swych poddanych tak wyrozumiale, hojnie i uprzejmie, jak pan sędzia Soplica... Zaciekawi ta instrukcja wreszcie i językoznawcę, bo są w niej wyrazy fachowe leśnicze i myśliwskie, które dziś już w znacznej części wyszły z użycia. (J. B.)

*

Wacław Grubiński, autor „Kochanków" napisał nową sztukę, komedję w trzech aktach pt. „Taniec". Sztuka ta, nie wystawiona dotychczas na scenie, ukazała się w książce (F. Hoesick). „Taniec" jest komedją straconych zachodów, miłości zwycięskiej w sytej atmosferze dobrobytu, potraktowanej przez autora ironicznie, z ironją pogodną, pobłażliwą i dyskretną, właściwą scenicznej i fejletonowej twórczości Grubińskiego, a bystrość obserwacji nadaje sztuce cechy studjum obyczajowego, o głębszym życiowym podkładzie i znaczeniu. Rzecz dzieje się w naszych czasach w Warszawie, tchnie prawdą, mimo że nie podkreślaną motywami lokalnemi, w czem o ileż jest wyższą od nałogowo importowanych przez teatry sztuk obcych. Zdobi „Taniec" mistrzowstwo djalogu, błyszczącego dowcipem i suggestywność plastyki typów, podstarzałych lowelasów, skrachowanej damy światowej i sprytnych podlotków, studentek uniwersytetu. Nasuwa się kwestja, czy i kiedy ta nowa komedja doczeka się scenicznego zrealizowania, czy też podzieli los dzieł takich, jak wydany też w książce przed kilku laty, Nowaczyńskiego „Komendant Paryża" i wiele innych scenicznych utworów polskich, które stale ustępują miejsca obcej produkcji, przeważnie lichej, przeróbkom z powieści lub sensacyjnym reportażom. (A. W.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

CZYTELNICY „Myśli", nie poprzestając na tygodniku, prenumerują, chyba wszyscy, jeszcze i jakieś pismo codzienne. To mnie zwalnia od obowiązku udzielania informacyj, podawanych trybem dziennikarskim, również i w zakresie sztuki. Korzystam z tego przywileju bardzo chętnie w związku z wystawą sztuki ukraińskiej w IPS-ie, i zamiast ją opisywać, wolę na jej marginesie wynotować kilka uwag.

Wystawa, skonstruowana ze zbiorów Ukraińskiego Muzeum Narodowego we Lwowie, ma dwa zasadnicze działy: ikonę i kilim. Co do kilimów, zwraca uwagę, iż prawie wszystkie operują ornamentem roślinnym, ściślej mówiąc kwietnym. I wszystkie są prześliczne. To też nie wiem, dlaczego „Ład" tak długo nam wmawiał (i prawie wmówił), że dla kilimu jedynie właściwe są motywy geometryczne. Wiadomo, o co tu chodzi. Są dwa rodzaje warsztatów: poziomy i pionowy. Tylko ten drugi pozwala na linje faliste w kompozycji. Ale kto wam zabronił, artyści z „Ładu", używania warsztatu pionowego? Nie mus skłaniał ku geometrji, ale raczej pewien prąd w sztuce współczesnej (moda na trójkąt), a również plastycy, którzy potrafili narzucić innym własną i zdecydowaną koncepcję rytmiki kompozycyjnej (Jastrzębowski). Dla mnie, osobiście, ornament geometryczny w kilimie, z małemi wyjątkami, jest nudny i zbyt suchy: nie widzę powodu, dla którego tradycja ornamentu kwietnego ma być zarzucona.

Może ten stan rzeczy zmieni się niedługo, bo łuk, a więc płynność, zyskuje znowu prawo obywatelstwa w sztuce użytkowej. Świadczą o tem ostatnie projekty mebli, chociażby tych samych artystów z „Ładu", wprowadzające do sprzętu linje, od których jeszcze niedawno jaknajkategoryczniej się odżegnywano.

Powracając do kilimów, rozwieszonych w IPS-ie, stwierdzamy, że one, mimo pewnej nieraz patyny, wcale nie sprawiają wrażenia sztuki zabytkowej, podziwianej jedynie w muzeach, a od życia współczesnego już nazbyt odległej. Kilka powodów składa się na taki stan rzeczy. Jednym będzie zapewne brak w kilimach jakiegokolwiek piętna wyraźnego stylu historycznego.

Drugim — urok tych tkanin, szczególnie nam drogi i bliski, bo, jako czynnik estetyczny, w zasięgu naszej kultury wyrosły. Niejeden z tych kilimów jest owocem kontaktu dworu polskiego na kresach ze wsią. Nieraz niepodobna dokładnie, z całą pewnością, określić, czy kilim należy właściwie do tworów dworskich, „pańskich", czy do ludowych ruskich. A często Polak dawał projekt, który tkacz, chłop ruski, po swojemu wykonywał. Tak, na jednym warsztacie, splatały się z sobą nietylko włóczki różnych barw, ale i upodobania dwu plemion. Oczywiście, nie należy tego zbyt uogólniać. Istnieje bardzo dużo kilimów zupełnie niewątpliwego pochodzenia. I te nawet bliższe nam będą od dzieł sztuki obcych narodów, gdyż powstały w obrębie ziem, w skład naszego państwa wchodzących, dzisiaj, lub przynajmniej w przeszłości.

Inaczej zupełnie ma się sprawa z ukraińskiemi ikonami. Te wydadzą się nam już niemal sztuką egzotyczną. I gdyby nie długie zżycie się z niemi, byłyby w tej samej mierze egzotyzmem i dla ludu ruskiego. Koncepcja widzenia świata, taka, jaką obserwujemy w ikonach, nie powstała na ziemiach ruskich. Została przyniesiona ze Wschodu, z Bizancjum, wraz z prawosławiem.

Malarz ukraiński otrzymał, za pośrednictwem duchowieństwa, które rozpowszechniało przedmioty kultu, a więc i obrazy święte, ścisłe wskazówki, a także i gotowe wzory, oparte na kanonach długowiecznej tradycji. Były to już ramy ciaśniejsze od ram warsztatu tkackiego. Jednak i tu dostrzegamy nieraz cechy odrębności plemiennej. Często w kolorycie. Uderza zdumiewające podobieństwo w kolorze niektórych ikon i kilimów. Odrębne są także głowy świętych, aniołów i t. d., wzorowane, może być, na modelach z najbliższego otoczenia malarza, gdyż przedstawiają zbyt często wyraźny całkiem typ ruski.

Malarz, gdy mniej umiał, mniej był nauczony, już mimowoli tem samem dawał ujście własnym upodobaniom. Utkwił mi zwłaszcza w pamięci jeden obraz. Na nim, u góry, gdzie malarz umieścił wyobrażenie Męki Pańskiej, wszystko się jeszcze dzieje według przepisów ikonografji. Ale już nieco niżej, malując grupę żołdaków, grających w kości o szatę Chrystusa, artysta nie pamięta wcale o naukach malarstwa bizantyjskiego. Być może — myślał sobie — z żołnierzami niema się co krępować. W pobożnej gorliwości, oburzony postępowaniem żołnierzy, zrobił wszystko, aby tylko obrzydzić wiernym te postacie. Takich kulfonów, jak te sołdackie pyski, świat i Korona Polska nie widziała. A jednocześnie cała scenka jest b. żywa i posiada odmienny i piękny koloryt.

Poza egzotyzmem (dla nas) stylu bizantyjskiego, wiele wystawionych ikon zaleca się pierwszorzędną kompozycją i wysokiemi walorami dekoracyjności; wszystkie zaś odznaczają się pierwszorzędną techniką.

WIKTOR PODOSKI

*

Dnia 7 marca b. r. odbyło się w gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych otwarcie Wystawy Młodych Grafików Z. S. A. Na wystawie reprezentowane są wszystkie gałęzie grafiki użytkowej (plakat, okładka, ulotka reklamowa, ilustracja, wykres statystyczny, fotomontaż). Wystawa otwarta została na przeciąg trzech tygodni.

MUZYKA

FILHARMONJA.—W niedzielę, 4 marca, odbył się w sali Filharmonji poranek symfoniczny poświęcony muzyce „ukraińskiej“. Cudzysłów mój zapobiegnie odrazu nieporozumieniu; nie był to bowiem koncert we właściwem, etnograficznem słowa tego znaczeniu, a propagandowy pokaz muzyczny usiłującej tworzyć się narodowości. Wybór miejsca koncertu sprawił, że nosił on charakter symfoniczny, oczywiście z taką wstawką, jak to jest w zwyczaju, tym razem wokalną. Śpiewała p. Marja Sokół, śpiewaczka o dużym, dobrej szkoły lirycznym głosie.

Program otwierała 2-ga symfonja Lwa Rewuckiego, poczem Suita Antoniego Rudnickiego, dwie pieśni Wasyla Barwińskiego, wreszcie tańce z op. „Złota obręcz“ Borysa Latoszyńskiego.

Jakie sprawiły wrażenie i do jakich doprowadzały wniosków?

Przedewszystkiem chodzi nam o to, czy zawierały one pierwiastki o charakterze istotnie narodowym. Nie można bowiem zbyt pochopnie uznawać przejawów jedynie odrębności za przejawy już narodowe, podczas gdy mogą być one tylko odrębnościami partykularnemi w znaczeniu miejsca, lub folklorystycznemi w znaczeniu ludności. A to jest różnica duża i zasadnicza. W sztuce narodów w pełnem słowa tego znaczeniu składają się one na całość kultury i czerpanie z ich pokładów nie nosi znamion sztuki wyłącznie ludowej, gdy odwrotnie, pozory formy mogą nas nieraz wprowadzić w błąd.

W tym wypadku stwierdzić należy pewną odrębność, a w utworach, odtwarzanych w niedzielę, tak zwartą w swoim charakterze, że możnaby mówić nawet o małem ich zróżnicowaniu. Ale nie odmawiając jej odrębności, postawimy jednak zarzut braku oryginalności. Nie wystarcza używać natrętnie i hałaśliwie perkusji dla legitymowaniu się narodowością, jeżeli jednocześnie w instrumentacji znać wyraźnie dominujące cechy muzyki współczesnej w jej ogólnem znaczeniu. Robi to nieszczere wrażenie. Użyłem już na innem miejscu w tym wypadku słowa „konjunktura“. To prawda — jest ona rzeczywiście przychylna. Charakterystyczne jest, jak dzisiaj dopiero świat muzyczny poczyna przeżywać hasła muzyki narodowej. Nie w znaczeniu programu, któremu można przeciwstawić inny, a z wyraźnej potrzeby, konieczności nawet. Trudno tu nie podkreślić zasług muzyki rosyjskiej, która od twórczości Korsakowa, poprzez przeciwstawiającego się mu indywidualistę Skrjabina, opierającego zresztą swą ideologję na jakże bardzo narodowym Czajkowskim, wdarła się całym rozmachem swej siły i żywotności talentu Strawińskiego, podczas gdy ta sama Rosja, mimo wszystko ta sama, szuka teraz wzorów we francuskiej „grupie sześciu“, oczywiście, z pomijaniem haseł Cocteau...

Dzisiaj dopiero rozumiemy i „Pietruszkę“ i „Obrzęd Wiosny“, chociaż twórczość ich autora jest już pozornie inna. Płytkiem będzie jednak kładzenie granicy i dziwienie się. Kto się dziwi, ten nie rozumie.

Przeżywanie twórczości Strawińskiego jest zdrową, męską reakcją, zgodną z prawdziwem spojrzeniem nie tylko dnia dzisiejszego. To też w tej muzyce, którą słyszeliśmy w niedzielę, mającej ambicję być muzyką narodową, sięgnięto do niej po wzory, chociaż w rezultacie skorzystano z nich w sposób nieudolny. Wyobraźmy sobie prymityw, wyobraźmy sobie świadome prymityzowanie, połączmy teraz te dwa pojęcia w jedno: prymitywne prymityzowanie... a przecież zestawienie przeładowanej instrumentacji z najbardziej prostem użyciem perkusji, jakiem jest monotonne, jednostajne używanie kotła, nie pozostawia innego wrażenia.

Tej roli perkusji możnaby poświęcić wiele miejsca, gdyż pozycja jej jest istotnie dominująca. Dlaczego właśnie ona ma przedewszystkiem podkreślić odrębność narodową? Dlaczego brak w harmonji pierwiastków śpiewu liturgicznego, dlaczego zadziwiający brak motywów lirycznych, dlaczego zignorowana, jakże ciekawa bardzo, gama pierwotnych instrumentów?

Czem wreszcie wytłumaczyć to ciągłe *forte* Usiłowaniem wydobycia mocnego akcentu — niewątpliwie, ale przez to stłaczanie tych mocnych akcentów nie osiąga się nic więcej, poza nieznośnym hałasem.

W rezultacie koncert pozostawił wrażenie, iż poza tą współczesną muzyką „ukraińską“ jest pusto, jeśli chodzi o czerpanie wartości, których nie wyzyskano. Dlatego też, owe pozory formy, o których wspomniałem, nie wprowadzą nas w błąd.

Dyrygował orkiestrą p. Antoni Rudnicki. Etapy pracy: Lwów, Berlin, Charków, Berlin.

W. NARUSZ

FILM

FILHARMONJA: „Pieśniarz Warszawy“, reż. M. Waszyński. Zapewne to jeden z lepszych tegorocznych filmów krajowych. Najkorzystniej przedstawia się strona wizualna „Pieśniarza“, zmontowana staranniej i daleko więcej urozmaicona, niż w utworach poprzednich. Scenki następują po sobie żwawo, aktor ma coraz to inne tło; nie każe mu się siadać i gadać, a ekranowi zamierać w bezruchu, z ciągle tą samą dekoracją. I operator jest ruchliwszy— rozmaitość treści wzrokowej wpływa dodatnio na rytmikę tempa. Dalsze zalety: brak gadulstwa, lakoniczność, z dbałością o wymowność obrazu, lub aluzji, zwłaszcza w pierwszej połowie filmu. W tej części także skupiły się wysiłki reżysera w zakresie montażu, co jest zjawiskiem charakterystycznem i dla wielu filmów zagranicznych.

Utwór miał być utrzymany w tonie komedjowym, lecz nieraz przechodzi w farsę; trzeba jednakże przyznać, że na dosadność nałożono tłumik. Za niefortunny pomysł należy uznać tylko wprowadzenie w akcję „antków warszawskich“, o twarzach — niewiadomo dlaczego — bandytów, lub handlarzy żywym towarem. Także niepotrzebne są, wcale niekomiczne, bójki. Wszystko to mąci jednolitość tonu, bez tego całość miałaby nawet pewien naiwny wdzięk i pogodę.

Pomysły filmowe, t. zw. „gagi“, lepsze tu, niż gdzieindziej. Ponieważ jednak przyzwyczajeni jesteśmy, że wszystko, co lepsze w filmach krajowych, jest zazwyczaj, jako pomysł, ściągnięte, więc mimowoli do niektórych dowcipów żywimy nieufność (trudno prowadzić kartotekę „gagów“).

Treścią „Pieśniarza“ są przygody młodego birbanta, który wyzwolił się z pod opieki rady familijnej i został śpiewakiem podwórzowym (stąd okazja do naszpikowania filmu piosenkami). Ponieważ niema filmu bez miłości, a miłości bez kobiety, śpiewak nie zapomina i o tem, żeby się zakochać. W roli ukochanej wystąpiła Basia Gilewska, debjutantka. Ma dużo wdzięku i mało temperamentu.

Pieśniarzem jest Bodo.

KANDYD

OFENSYWA

WODOCIĄG W CZĘSTOCHOWIE

NIE cała prasa, a właściwie tylko dwa brukowce (sanatki) podzieliły się z czytelnikami radosną wiadomością, że odnalazł się nam nowy talent dramatopisarski, i to aż w Częstochowie!

Laury Słonimskiego w teatrze i bajeczna poczytność nowego *romancier*'a Icka Ferberowicza (piszącego pod pseud. Urke Nachalnik) nie daje widać spać innym nachalnikom. Oprócz pięciu teatrów żargonowych, jeden z teatrów stołecznych zdecydował się grać już wogóle sztuki tylko wielkich i pomniejszych nachalników. W innym teatrze, zamiast nowej sztuki autora „Bolszewików“ (*sic*) Sieroszewskiego, idzie Szereszewski. Kilka rękopisów zniosła na różnych grzędach dyrekcyjnych Irena Goldberg (Krzywicka), podrażniona twórczością domowych kotów i kocic. Przebąkują też coś o nowych spółkach autorskich: Muszałówna i Migowa oraz Pomper i Peiper.

Nic tedy dziwnego, że i jeden z najznakomitszych fejletonistów naszej generacji stracił resztki cierpliwości i zimnej krwi i nie panując nad sobą zebrał się do napisania kilku utworów scenicznych, które potem w maszynowych rękoczynach rozeszły się po wszystkich dyrekcjach. Ponieważ poseł Horzyca (Willam) miał pewne wątpliwości co do dramatu „Sam wśród Semów“, przeto na wystawienie sztuki wysłanej do Częstochowy jednak zdecydował się tamtejszy „Teatr Kameralny“ (*sic*), jeden z najświetniejszych zespołów w dzisiejszej Europie. Jak to mówią, wstępnym też bojem uzyskał całkiem niezwykły, bo jednorazowy sukces moralny, materjalny, akustyczny, artystyczny i t.p. Praca nosi nazwę „Różnie bywa“, zaś autor: „Wasowski“, z domu Wasserzug, gmina: Płocka. Aby nabrać wyobrażenia, co polskie i wszechświatowe piśmiennictwo dramatyczne zyskało, dostawszy niespodziewanie, bo aż w Częstochowie pierwszy utwór znakomitego humanitarysty, altruisty, filantropa, przyjaciela ludu pracującego i dzieci, wystarczy zacytować ustęp z domowej recenzji, nadesłanej z Częstochowy do „Expressów“:

„Debiut sceniczny znanego publicysty okazał się niezwykle udatny, ciekawy i oryginalny. Sztuka jest łatwa i trudna zarazem do słuchania. Łatwa—bo ma przejrzyście narysowane charaktery, djalogi błyskają świetną szermierką myśli.

Ale trudna jest sztuka dla przeciętnego widza dlatego, że nasycona jest cała atmosferą najwyższych szczytów moralnych i duchowych. Jest tam kryształowe powietrze i błękit daleki górnych horyzontów i blask słońca, ale przeciętnemu zjadaczowi chleba trudno jest oddychać, jak w górskiem powietrzu, które wydaje mu się za rzadkie, bo jest za czyste“.

Przeciętnemu zjadaczowi trudno było oddychać prawdopodobnie dlatego, że, choć na scenie powietrze górskie i „za czyste“, na widowni powietrze musiało być gorsze, zwyczajnie jak w „kameralnych“ teatrach i na kameralnych koncertach na prowincji. Sądząc z recenzji, autor w sztuce rozszczepiał siebie samego na dwie połowy, na starego Wasowskiego (Ojciec, dziennikarz, który piórem walczy w imię najwyższych haseł ludzkości, tnie niem jak szablą poprzez ciemności, wsadza je jak kij w mrowisko, nieci niem światło) i na młodego Wasserzuga komunistę, rewolucjonistę i takiego żydziaka, których chmary aresztuje się u nas dzień w dzień za zdradę stanu i za tendencje przyczepienia zlikwidowanej Polski do przyszłych Trockistowskich Sowietów.

Niema żadnej racji, żeby tego „Różnie bywa“ u pana Wasowskiego nie wystawić także i w Warszawie, już choćby dla wykazania, że *„grattez Wasowski et vous trouverez toujours Wasserzug“*. Jeżeli nowa powieść Urke Nachalnika: „Miłość przestępcy“, wydana w pierwszej dziś w Polsce firmie nakładowej (Fruchtmana), może liczyć na duży sukces moralny i materjalny, to tembardziej można zaryzykować wystawienie utworu „człowieka i obywatela“, tak kapiącego cnotami, takiego Arystydełesa czy Alcybiadełesa, takiego nieskazitelnika, takiego humanitarniaka, takiego złotoustego kaznodziei, żeby nie powiedzieć nadkantora (Siroty) postępu, liberalizmu i alt-rujizmu, no i wogóle jedealisty, jakim jest i był zawsze jeszcze jako mały Joselek w Płocku.

Przed premjerą warszawską atoli i przed dalszą „literacką“ twórczością, pedagogizującą Polaków, dobrzeby było, aby p. Wasowski przeczytał sobie ostatnią emigrancką powieść Maksa Broda (*ghetto* praskie) p. t. *„Die Frau die nicht enttauscht“*. Jako bohater występuje w niej też taki *viel-schreiber* (wodociąg) dr. Justus Spira, długie lata bezkarnie apostrofujący i mentorujący, perorujący i karcący społeczeństwo niemieckie, którego jest g o ś c i e m. Justus Spira zostaje przepędzony razem z innymi. I wtedy, już na banicji, zaczyna medytować nad swą niedolą.

I oto sprawozdawca tej powieści w jednym z popularnych warszawskich tygodników żydowskich pisze o tem:

„Zoologiczny antysemityzm ogłupionych mas przybiera w ujęciu dr. Spiry niewinne i potulne kształty, drapuje się w szaty sprawiedliwego odwetu, urasta do rozmiarów symbolicznego zjawiska. To żydzi sami są winni— woła Justus Spira do siebie, a Max Brod do czytelników— że się ich katuje i przepędza. Zadużo mają w sobie bezczelności, zbyt pewnie wciskają się do obcych kultur, zbyt licznie świecą na kierowniczych stanowiskach w polityce, sztuce, literaturze i nauce innych narodów. Nic dziwnego że wkońcu następuje zdrowa i naturalna reakcja „poszkodowanych“ narodów. Reakcja ta wypływa z głębi „jaźni“ narodowej, jako odruch samoobrony przed skażeniem swego oblicza duchowego przez obcą rasę. Żyd zawsze pozostanie żydem, jakkolwiekby się uważał za Niemca. Są pewne nieusuwalne cechy charakteru rasowego, które manifestują się tak w życiu codziennem, jak w twórczości artystycznej, lub działalności politycznej. W myśl tej zasady zaczyna dr. Justus Spira z chorobliwą wprost pasją doszukiwać się w swojej strukturze psychicznej cech typowo żydowskich. Szukaj, a znajdziesz“.

I Justus Spira znajduje.

A że „różnie bywa“ na świecie, więc i nasz częstochowski debjutant, zajadły antymilitarysta i antygojista wielkich jednostek (na rzecz cywilu i kollektywu) też znajdzie. Wcześniej czy później. Może i później, bo to różnie bywa u tych z *ghetta*.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Dyplomata polski p. Mühlstein (ożeniony z Rotszyldówną) zaprosił do swej rezydencji w Paryżu na śniadanie przybyłego z Polski delegata oraz reprezentanta Sowietów. Zasiedli we trzech. Gościem Rosjaninem był p. Rosenberg, gościem z Polski — p. Loewenherz. Ważyły się w rękach paryżanina losy: Europy Srodkowej i Europy Wschodniej. Przy czarnej kawie, gdy służba wyszła, rozmowa stawała się coraz intymniejsza, aż wreszcie dyplomaci znaleźli „wspólny język“... Spostrzegłszy to, spojrzeli sobie wesoło w oczy i roześmieli się.

Żegnając się, wrócili do języka francuskiego.

•

Twórczość nasza literacka w podobny sposób dobrze zagranicą jest reprezentowana. Wydawana w Paryżu w celach propagandy polskiej *„La Pologne“* zamieszcza pełen entuzjazmu szkic literacki o wierszach J. Tuwima. Autorem szkicu jest Jan Topass (Tamże przez tegoż reklama dla żydowskich „Wiadomości Literackich“).

Dziwnie się nazywają dzisiaj Polacy.

Dziwną mamy reprezentację.

•

W mieście Jarocinie w Poznańskiem miały miejsce poważne zajścia antyżydowskie. Przybyłych tłumnie na jarmark handlarzy żydowskich z Kongresówki ludność pobiła i wypędziła. — „Kurjer Warszawski“ podał o tem wiadomość pod nagłówkiem: „Gorsząca nienawiść dzielnicowa“. Jak wynika z relacji „Kurjera“, jarociniacy nie z tego powodu wypędzili handełesów, że są żydami, lecz dlatego, że przybyli zza dzielnicowego kordonu...

•

W „Kurjerze Poznańskim“ znajdujemy wiadomość, że w Warszawie powstaje Tow. krzewienia kultury filmowej. Na czele tego towarzystwa, które będzie bogatsze od teatralnego, stanąć ma także p. Kaden-Bandrowski. W ten sposób powstaje dyktatura kultury polskiej, obejmująca skadenizowane obszary: literatury, muzyki, teatru i kina. Maluczko a dowiemy się, że Kaden obejmuje radjo.

TREŚĆ:

Sedno rzeczy *Z. Raczkowskiego.* — Jezuita Tatarzyn *W. Sobieskiego.*—Jedwabiste zające i lisy biurkowe *St. Pieńkowskiego.*—Pasterka papieża Grzegorza VII *E. Gebharta* (przekł. *St. Miłaszewskiego*).—Piosenka o Ubożęciu *K. Iłłakowiczówny.* — Na widowni *J. Rembielińskiego.*—Głosy—Nauka i literatura („Narodowy program gospodarczy" *K. M.* i t. d.).—Ze świata sztuki *W. Podoskiego.* — Muzyka *W. Narusza.* — Film *Kandyda.*—Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.*—Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.